

LIBERTÉ!

numer 82/maj 2023



MOJE PIENIĄDZE

SŁAWOMIR DUDEK ° TOMASZ KASPROWICZ ° MAGDALENA M. BARAN
ALICJA MYŚLIWIEC ° MICHAEL GIELETA ° PIOTR BENIUSZYS ° BARTŁOMIEJ AUSTEN
PIOTR GÓRSKI ° MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA ° KAMIL SZĄŁECKI ° MACIEJ RAŚ



MAGDALENA M. BARAN

Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

CHCĘ WIĘCEJ

„Są rzeczy, których nie można kupić za pieniądze – rozpoczyna jedną ze swoich książek Michael Sandel, praktycznie na tym samym oddechu dodając – Choć w obecnych czasach jest ich już niewiele”. Następnie wylicza, co i za ile można kupić... Próżno jednak w jego wskazaniach szukać ekstrawagancji z gatunku torebka od Chanel czy buty od Prady. Ba, nie znajdziemy tam również codziennych zakupów, jakie standardowo wrzucamy do sklepowego koszyka, co jakiś czas przeliczanego przez polityków (żeby powiedzieć: „Jak drogo!” lub „Patrzcie jakie to tanie!”) czy też comiesięcznie podsumowanego przez rozmaite portale finansowe. Pytanie na co nas stać padnie nieco później, a może nawet w innym kontekście. Póki co lista Sandela może zaskakiwać, gdyż obejmuje różnorakie przywileje/korzyści, stawiające jednych ponad drugimi. I tak – standard zaoceaniczy, rozliczany w dolarach – 82 dolary kosztuje cela więzienna o podwyższonym standardzie, 8 dolarów należy zapłacić za przywilej jeżdżenia znacznie luźniejszym pasem drogowym, donoszenie ciężki przez indyjską matkę zastępczą (na rok 2012) to, bagatela, 6250 dolarów etc. Jasne, w Europie płacimy wszak za prawo do emisji tony metrycznej dwutlenku

węgla do atmosfery, tworząc rynek praw do zanieczyszczenia środowiska... Czego zatem nie można kupić? „Logika kupna i sprzedaży – powiada dalej Sandel – nie odnosi się już do dóbr materialnych, ale stopniowo zaczyna rządzić całym naszym życiem”. Pytanie, jakie można echem powtórzyć za filozofem, jest naprawdę proste: „Czy chcemy tak żyć?”.

Odpowiedź coraz częściej brzmi: „Nie”. Jest to zarówno „nie” jednostkowe, jak i „nie” powtarzane przez kolejne i kolejne ruchy społeczne czy polityczne; „nie”, którego przesłaniem jest globalne: „Zwolnij!” W tle nie tylko nierówności, ale również „psucie wartości”, które coraz częściej wybijają się na pierwszy plan. Przerobiliśmy opowieść o antropocenie, o odpowiedzialności człowieka za różne wymiary zła (tak, to ekologiczne też), dobrnęliśmy do kolejnych kryzysów (covid, wojna), dostaliśmy po głowie... Otrzeźwiło nas? Wszelkie *słow* i *fair* wkrały się w nasze życie mniej czy bardziej postrzeżenie, a pośpiech i tak został. Bo w każdym „więcej” podkręcamy tempo maszyny współczesnego świata. Podkręcamy też nasze wymagania... Te z kolei łatwo stają się pożywką dla rządzących/chcących uzyskać

lub utrzymać władzę. Owi „chciwi na władzę” doskonale radzą sobie z każdą formą rozdawnictwa, powalając im już nie tylko na tatanie dziur w domowych budżetach, zaspokajanie socjalnych potrzeb, ale z czasem i prześciganie się w wymyślaniu przeróżnych (często szkodliwych) bzdur z kategorii kolejnego „plus” bądź rozdawniczego „daj”, gdy ktoś jeszcze „oczekuje” lub jeszcze mu „się należy”. Ta „doskonałość” – podobnie jak polityczne kłamstwo – ma jednak bardzo krótkie nogi i szybko odbija się czkawką, tak jednym, jak i drugim. Znamy to przecież doskonale, a polskie podwórko może służyć za reprezentatywny przykład z cyklu „Nie róbcie tego w domu”. Tu jednak – o, mądrości Seneki! – sprawdza się stara prawda, iż „za późno oszczędzać, gdy widać dno. Przecież na dnie zostaje resztką nie tylko bardzo nieznaczna, ale i najgorsza”... Szczęśliwie zegar tyka i wyborcza weryfikacja coraz bliżej.

Pytanie, czy owo po wielokroć odsądzane od czci i wiary „więcej” zawsze musi nieść ze sobą negatywne konotacje. I nie idzie wcale o to, że „dla chciwych mało całego świata” (znów Seneka), bo nie stawiamy znaku równości pomiędzy nim a chciwością. „Więcej”

to nie tylko „nienasycone pragnienie kolejnych chwil” (choć, czemu nie) czy posunięty do granic obłędu konsumpcjonizm. „Więcej” to niekoniecznie prosty stan posiadania, ale cel rozwoju osobistego, przełożenia dążeń na konkrety, marzeń na plany. To wyjście poza kategorię bezsilności, z mocnym postanowieniem, że nie tylko „dam sobie radę”, ale że szczęście (jakkolwiek je sobie definiujemy) jest w zasięgu ręki. „Więcej” to także umiejętność przesunięcia akcentów i rozpoznania ceny, jaką jestem w stanie za nie zapłacić.

Gdy myślę/mówię: „Chcę więcej” (a chcę!), to na każdym kroku, konsekwentnie dążę do realizacji tego chcenia. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Że manna spłynie z nieba. Nikt nie obiecywał, że „ten telefon” w końcu zadzwoni, że „ten tekst” trafi we właściwe miejsce, że „ta podróż” wreszcie się uda, że... robiący trzy kroki w naszą stronę nagle nie cofnie się o... dwa i pół. Każde „chcę więcej” oznacza pracę, cierpliwość, wytrwałość, ale i zaufanie – do siebie, do Drugiego, do procesu. Zaufanie, że warto przejść do miejsca, gdzie bez lęku powiemy naszemu chceniu; „Tak!”.



MOJE PIENIĄDZE

6 • **KRYZYS FINANSÓW PUBLICZNYCH W POLSCE JEST FAKTEM**
Sławomir Dudek

14 • **ZAGADKOWA DZIEDZINA**
Tomasz Kasprowicz

20 • **FINANSOWE MONOPOLY**
Magdalena M. Kaj-Chęcińska

24 • **ZŁOTE MALINY 2023 ROZDANE, CZYLI POLSKO-UKRAIŃSKA WOJNA O MALINĘ**
Bartłomiej Austen

SPOŁECZEŃSTWO DZIŚ

32 • **SAME DOBRE POMYSŁY**
Piotr Beniuszys

IDEE I...

40 • **CELEBROWANIE RÓŻNICY. PLURALIZMY I METAFORY**
Piotr Górski

LEKTURY LIBERAŁA

64 • **PRYNCYPIUM – DOBROMYŚLNOŚĆ**
Magdalena M. Baran

KULTURA DLA MYŚLENIA

68 • **INSYGNIA BAŚNIE I DRAM – FEMINIZM PO KRÓLEWSKU**
Alicja Myśliwiec

72 • **ŻYDZI I KURTYZANY**
Michael Gieleta

MŁODYM GŁOSEM

80 • **SPRAWCZOŚĆ I DOSTOJEŃSTWO. CZY BRYTYJSKA MONARCHIA
MA JESZCZE SENS?** Kamil Szatecki

TRZY PO TRZY

84 • **WIĘZY KRWI**
Piotr Beniuszys

86 • **COLD WAR LIBERALS**
Jean Gol

WIERSZ WOLNY

90 • ***** (ZRYWALIŚMY CZEREŚNIE...)**
Maciej Raś



KRYZYS FINANSÓW PUBLICZNYCH W POLSCE JEST FAKTEM

SŁAWOMIR DUDEK

Finanse publiczne to coś więcej niż cyferki, relacje, tablice. To na pewno więcej niż budżet państwa, który stał się kompletną fikcją. Oczywiście ważne jest pytanie: Jaki jest stan finansów publicznych w sensie finansowym? Czy deficyt jest za duży? Czy wystarczy na emerytury? Mimo wszystko na finanse trzeba jednak spojrzeć szerzej.

Finanse publiczne obejmują ogół zjawisk, procesów i instytucji związanych z gromadzeniem i podziałem „WSZYSTKICH co do grosza” środków publicznych znajdujących się w dyspozycji władz publicznych, służących wypełnianiu funkcji państwa. Finanse publiczne są pewnego rodzaju emanacją całego współczesnego państwa w płaszczyźnie finansowej. Występują w prawie wszystkich obszarach funkcjonowania państwa, dotyczą wszystkich obywateli, jako podatników i beneficjentów transferów oraz dóbr i usług publicznych. Finanse publiczne w aspekcie podatków i transferów są istotnym elementem debaty pu-

wiedzą, że te 12 miliardów to fikcją, nic nieznacząca liczba, niewielki wycinek finansów publicznych, którym można dowolnie manipulować, bo rząd od kilku lat co roku wyprowadza poza budżet państwa setki miliardów złotych do funduszy poza budżetem państwa, poza kontrolą parlamentu, poza kontrolą społeczną.

W rozliczeniu budżetu próżno szukać sprawozdania finansowego Polskiego Funduszu Rozwoju (PFR), Funduszu Przeciwdziałania COVID-19, Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych, Funduszu „Polski Ład”, czyli Programu Inwestycji Strategicz-

Finanse publiczne są pewnego rodzaju emanacją całego współczesnego państwa w płaszczyźnie finansowej

blicznej, programów wyborczych poszczególnych partii. Budżet państwa jest podstawą absolutorium rządu. Finanse publiczne mają swój rozdział w konstytucji. „Budżet”, choć nie ma budynków, ludzi, jest instytucją konstytucyjną w sensie prawnym.

Finanse publiczne są zatem złożonym kompleksowym systemem.

Kilka tygodni temu premier na specjalnie zorganizowanej konferencji na Stadionie Narodowym poinformował społeczeństwo, że deficyt budżetu państwa w ubiegłym roku wyniósł 12,4 miliarda złotych. Z tej liczby rząd wkrótce będzie rozliczany i otrzyma lub nie tzw. absolutorium. Wszyscy eksperci

nych. Nomen omen, skrót PIS. Te fundusze to raj wydatkowy premiera Mateusza Morawieckiego. Jak mafie VAT-owskie wyprowadzają swoje transakcje do rajów podatkowych, tak rząd wyprowadził setki miliardów złotych poza budżet państwa, poza kontrolę parlamentu.

Obecny rząd do perfekcji opanował sztuczki budżetowe, kreatywną księgowość i propagandową narrację, aby oszukiwać społeczeństwo co do stanu finansów publicznych i sposobu gromadzenia i wydawania środków publicznych. Oprócz „raju wydatkowego” rząd wykorzystuje szereg rozmaitych trików budżetowych. Na przykład na masową skalę zamiast dotacji rozdaje obligacje skarbowe.

Przykładem jest telewizja publiczna, która co roku dostaje około 2 miliardy złotych, nie na rachunek bankowy w postaci przelewu złotych, ale na rachunek maklerski w postaci skarbowych papierów wartościowych. I takie na przykład radio Koszalin dostaje obligacje skarbowe, następnie je spienięża, a uzyskane środki wydaje na propagandę. Po co to wszystko? Po to, aby zaniżyć deficyt budżetu państwa, bo obligacje nie są traktowane jako wydatek

wiedzieć, że powstaje taka karuzela funduszy. Po co? Po pierwsze każdy minister chce mieć swój fundusz, swoje królestwo. Po drugie w niektórych funduszach agencjach można zatrudnić swoich. Ponadto taka pajęczyna funduszy działa jak karuzela VAT-towska. W karuzelach tych tworzyło się łańcuch transakcji zakupu i sprzedaży, żeby zgubić urząd skarbowy i wyłudzić VAT. W przypadku karuzeli funduszy i agencji można zgubić ślad po róż-

Obecny rząd jest też twórcą kreatywnej narracji, polegającej na wmawianiu społeczeństwu, że opłata, danina to nie podatek. Kuriozalne są tłumaczenia ministra finansów, który mówił że oni nie podnoszą podatków, tylko daniny i opłaty

budżetowy. I cyk, można się chwalić na Stadionie Narodowym Niskim deficytem. Tylko w ubiegłym roku rozdano obligacje za ponad 20 miliardów złotych, a w ciągu kilku ostatnich lat kwota przebija już 100 mld zł. Obecny rząd jest też twórcą kreatywnej narracji, polegającej na wmawianiu społeczeństwu, że opłata, danina to nie podatek. Kuriozalne są tłumaczenia ministra finansów, który mówił że oni nie podnoszą podatków, tylko daniny i opłaty. Czyli obietnica przedwyborcza, że nie będzie podwyżek podatków, nie została naruszona. To jest kłamstwo narracyjne. Rząd również na masową skalę tworzy stanowiska pełnomocników rządu, pełnomocników premiera, tworzy agencje, instytuty i różnego rodzaju fundusze. Można po-

nego rodzaju dziwnych dotacjach. Całe szczęście mamy jeszcze niezależne media, które cały czas tropią takie przykłady jak głośniki dla Bąkiewicza, czy dotacje do podmiotów powiązanych z obecnymi politykami.

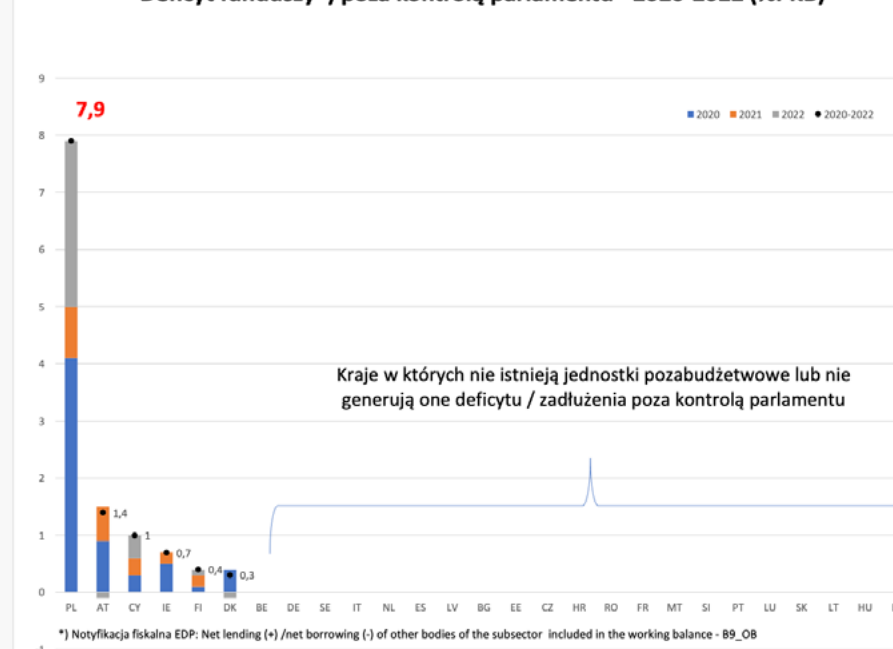
Do Sejmu rząd wysła liczbę 12 miliardów złotych, ale prawdziwy deficyt rządowy wynosi ponad 100 miliardów złotych. Ten deficyt można obliczyć na podstawie danych z notyfikacji fiskalnej wysyłanej do Eurostatu. Rząd w procedurze uzyskania absolutorium za ubiegły rok pokaże Sejmowi jedynie 12% prawdziwego deficytu. Pozostałe 88% jest poza naszą kontrolą, poza kontrolą parlamentu, poza kontrolą demokratyczną.

ifp

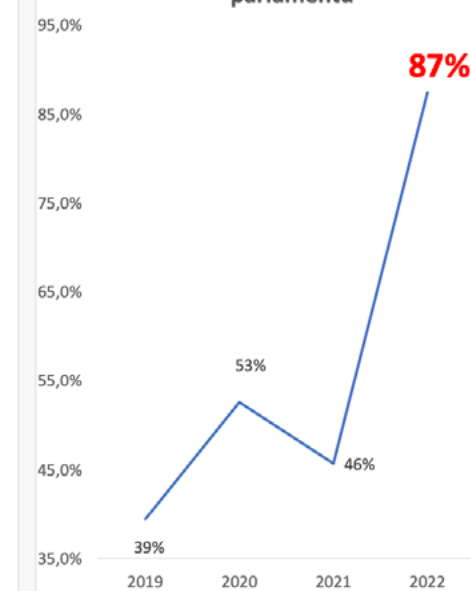
instytut
finansów
publicznych

dr Sławomir Dudek – prezes zarządu, główny ekonomista @DudSlaw

Deficyt funduszy*) poza kontrolą parlamentu - 2020-2022 (%PKB)



#PATO Budżet: Niebotyczna skala deficytu poza kontrolą parlamentu



Źródło: @DudSlaw IFP na podstawie EUROSTAT, GUS

Przeciętny wyborca pewnie się nie zorientuje, myśląc, że coś, co nazywa się „budżetem państwa” to finanse całego państwa. Rząd i media publiczne skrzętnie to wykorzystują w swojej propagandzie. Rząd tłumaczy się, że przecież wysłała do Brukseli informację o deficycie całego sektora finansów publicznych według metodologii europejskiej, gdzie są uwzględnione te fundusze. Ale Eurostat to nie jest polski parlament. Rząd nie jest rozliczany z tego, co jest wysyłane do Eurostatu. Zresztą, aby rozliczyć rząd, potrzebujemy szczegółowego rozliczenia tych 88% – na co ten dług został zaciągnięty,

ile kosztował. To wszystko powinno być zawarte w budżecie państwa. Jednak budżet państwa jest jedną wielką fikcją. A premier Morawiecki, mówiąc na Stadionie Narodowym, że deficyt budżetu państwa wyniesie 12 mld, okłamywał społeczeństwo.

Od kilku lat w Polsce mamy kryzys demokracji, kryzys praworządności, kryzys i zawłaszczanie wielu istotnych instytucji państwa demokratycznego. Na co dzień łamana jest konstytucja, mamy więc i kryzys konstytucyjny. Zresztą potwierdza to fakt wszczęcia przez Komisję Europejską postępowania w zakresie



naruszenia praworządności, czy też wstrzymanie środków z KPO.

Jeżeli mamy oczywisty kryzys praworządności, to jak nazwać sytuację, z którą mamy do czynienia w finansach publicznych, gdzie naginane są wszelkie procedury, kiedy z budżetu państwa wyłącznie setki miliardów złotych wydatków publicznych do funduszy pozabudżetowych, kiedy rola ministra finansów została sprowadzona do pozycji księgowego, kiedy politycy bez skrępowania realizują projektu typu „willa plus”?

To jest kryzys finansów publicznych jako uporządkowanego, logicznego, kontrolowalnego systemu. I tu chciałbym zaznaczyć, że „rule of law” to również „rule of public law”. Ogólna praworządność to również praworządność, demokracja, kontrola społeczna w zakresie procesu budżetowego, w zakresie szeroko rozumianych finansów publicznych.

Znajduje to również odzwierciedlenie w opiniach NIK: „Zasadne jest przywrócenie budżetowi państwa odpowiedniej rangi związanej z jego szczególnym charakterem oraz centralną pozycją w systemie finansów publicznych” oraz „Efektywna kontrola społeczna i prawo opinii publicznej do wiedzy na temat państwowej kasy są zakłócone, kiedy rząd osłabia przejrzystość finansów publicznych. Przeprowadzona przez NIK analiza wykonania budżetu państwa [2020] wykazała, że w zeszłym roku rząd zastosował bezprecedensowe mechanizmy służące wypychaniu wydatków poza budżet”.

Podobne zastrzeżenia zgłaszali konstytucjoniści: „Pominięcie w ustawie budżetowej planów finansowych państwowych jednostek organizacyjnych wykonujących zadania publiczne o znaczeniu podstawowym dla oceny wykonywania przez państwo swoich konstytucyjnych i ustawowych

poglądów politycznych, paradygmatów ekonomicznych – czy to bardziej wolnorynkowych, czy to bardziej socjalnych – wszystkim nam powinno zależeć na pełnym, prawdziwym obrazie finansów publicznych. Jest to szczególnie istotne w roku wyborczym. Aby wybory były uczciwe, wyborcy po-

**„Rule of law” to również „rule of public law”.
Ogólna praworządność to również praworządność,
demokracja, kontrola społeczna w zakresie procesu
budżetowego, w zakresie szeroko rozumianych
finansów publicznych**

funkcji albo nadanie tym planom informacyjnego, niewiążącego znaczenia prowadzi wprost do naruszenia art. 219 ust. 3 Konstytucji RP.” (prof. T. Dębowska-Romanowska, 2016).

Już od kilku lat parlament obraduje nad fikcyjnym budżetem, a rząd jest rozliczany na podstawie fikcyjnego deficytu budżetu państwa. Powstaje ważne pytanie: czy można uzyskać absolutorium za 1/10 obrazu budżetu rządowego?

Trzeba powiedzieć jasno. Polskie finanse są w głębokim kryzysie. I chodzi tutaj o instytucje, system, procedury, kontrolę społeczną i przejrzystość finansów publicznych.

Przejrzystość finansów publicznych jest apolityczna, jej przywrócenie nic nie kosztuje. Niezależnie od

winni dostać do oceny PRAWDZIWY BUDŻET.

Obywatele mają prawo do zrozumienia i wpływu na sposób pozyskiwania i wydawania WSZYSTKICH środków publicznych. Obowiązkiem państwa demokratycznego jest to prawo respektować.

Przejrzystość finansów publicznych jest fundamentem państwa demokratycznego.

Finanse publiczne jako system wymagają głębokiej reformy i naprawy. Trzeba przywrócić konstytucyjną rangę budżetowi państwa. Trzeba przywrócić przejrzystość finansów publicznych. Trzeba przywrócić kontrolę demokratyczną i społeczną nad finansami publicznymi. Trzeba zlikwidować patologie w finansach publicznych, które są wykorzysty-

wane do celów politycznych i partyjnych. Właśnie dlatego założyliśmy Instytut Finansów Publicznych, udało nam się namówić do udziału w tym projekcie wybitnych ekspertów i doświadczonych praktyków. Sieć ekspertów i Rady programowej Instytutu to ponad 150 lat doświadczenia w Ministerstwie Finansów. Wykorzystamy tę wiedzę i doświadczenie. Naprawimy system finansów publicznych. ●

Od czerwca dział „Ekonomia dziś” będzie realizowany we współpracy z Instytutem Finansów Publicznych.



Instytut Finansów Publicznych (IFP) to pierwszy w Polsce think-tank zorientowany kompleksowo na finanse publiczne. IFP stoi na straży przejrzystości i efektywności finansów publicznych, stabilnego, przewidywalnego i prostego systemu danin publicznych oraz praworządności i wolności gospodarczej z uwzględnieniem wyzwań dotyczących klimatu i środowiska. IFP organizacją pozarządową typu watch dog – tworzymy ośrodek ekspercko-analityczny reprezentujący interes społeczeństwa i obywateli oraz aktywnie uczestniczymy w debacie publicznej.

Założycielem i fundatorem IFP jest dr Sławomir Dudek – ekonomista i ekspert w dziedzinie finansów publicznych z ponad 23-letnim doświadczeniem w Ministerstwie Finansów. Przez wiele lat kierował Departamentem Polityki Makroekonomicznej.

www.ifp.org.pl

https://linktr.ee/ifp_orgpl



DR SŁAWOMIR DUDEK

Założyciel, prezes i główny ekonomista Instytutu Finansów Publicznych. Ekspert w zakresie finansów publicznych z ponad 23-letnim doświadczeniem w Ministerstwie Finansów. Przez wiele lat jako dyrektor kierował Departamentem Polityki Makroekonomicznej. W latach 2012-2019 przewodniczył polskiej delegacji na posiedzeniach Economic Policy Committee przy OECD. Był członkiem Rady Statystyki, Rządowej Rady Ludnościowej, Rady Edukacji Statystycznej. Zasiadał w radach nadzorczych Narodowego Funduszu Zdrowia, Bankowego Funduszu Gwarancyjnego i Aplikacji Krytycznych. W 2020 roku został członkiem Rady Gospodarczej – Zespołu Doradców ds. Gospodarczych przy Marszałku Senatu RP. Członek Towarzystwa Ekonomistów Polskich (od 2020 do 2022 członek władz). Koordynator Centrum Monitoringu Sytuacji Gospodarczej przy Radzie Przedsiębiorczości. Komentator gospodarczy w mediach branżowych i ogólnoinformacyjnych. Absolwent Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Doktoryzował się w Szkole Głównej Handlowej.

ZAGADKOWA DZIEDZINA

TOMASZ KASPROWICZ

Nie dajmy się przekonać, że odpowiedzialność przyjdzie wraz z większymi kwotami. Nie przyjdzie – co najwyżej większe złodziejstwo, bo apetyty kręcącej się przy władzy czeredy są nieograniczone.

Finanse publiczne to dość zagadkowa dziedzina. Zasadniczo w dzisiejszych czasach służą czterem celom. Po pierwsze organizacji państwa tak, by mogło w ogóle działać. Po drugie finansowaniu usług publicznych. Po trzecie janosikowaniu – czyli zabieraniu jednym, by dać drugim. Po czwarte zaś (choć ktoś może słusznie zauważyć, że to specjalny przypadek poprzedniego punktu) uwłaszczeniu sprawujących władzę.

Tu należy zauważyć, że granice między tymi celami są nieostre: finansowanie edukacji to niewątpliwie usługa publiczna, z drugiej jednak strony transfer od bezdzielnych do ludzi z dziećmi. Co gorsza, wszystko to jest wymieszane w jednym garze i nie ma dobrego sposobu rozliczania, na co wydawane są konkretne pieniądze. Kiedy tylko lewicy uda się przekonać mnie, że trzeba podnieść podatki, żeby

działa to dzięki sprawnemu aparatowi państwowemu, wysokiej kulturze instytucjonalnej oraz kulturze i etyce osobistej. U nas niestety tego nie ma i długo nie będzie i właśnie dlatego nie możemy mieć fajnych rzeczy. Nie dajmy się przekonać, że odpowiedzialność przyjdzie wraz z większymi kwotami. Nie przyjdzie – co najwyżej większe złodziejstwo, bo apetyty kręcącej się przy władzy czeredy są nieograniczone.

Nie mniej ciekawe są metody finansowania wszystkich powyższych punktów. Zasadniczo mamy ich kilka. Pierwsze, co przychodzi do głowy, to oczywiście podatki. Są jeszcze dochody z państwowych firm. Jeśli jednak pieniędzy nie wystarczy, pozostaje sfinansować deficyt długiem (za przeproszeniem, publicznym). Na tym jednak opcje się nie kończą – bo od czasu, kiedy podaż pieniądza jest nie-

Watykan umieścił *Drugą płęć* na liście ksiązek zakazanych. Czas znowu przyznał rację autorce

sfinansować poprawę jakości usług publicznych, pojawia się kolejna afeta, gdzie setki milionów są przeznaczone na cel czwarty – czyli rozdanie swoim. I w tym momencie zapadł do zwiększania wpływów budżetowych we mnie opada – bo kiedy pieniądze trafią już do wspólnego garnka zwanego budżetem, zwykle pasą się na nich krewni i znajomi królka. To właśnie dlatego nie przemawia do mnie pokazywanie Szwecji czy Danii jako wzoru wysokiego opodatkowania i świetnej jakości państwa. Tam

ograniczona, zawsze można niezbędne fundusze wydrukować. Ta opcja pojawiła się stosunkowo niedawno, bo na początku XX wieku i została zastosowana z wielką werwą. Tak wielką, że doprowadziła do hiperinflacji i załamania gospodarczego w kilku krajach – chociażby weimarskich Niemczech. Ta historia powtarza się od czasu do czasu – ostatnio w Wenezueli. Jednak są i tacy, którzy wierzą, że tym razem będzie inaczej i w końcu możemy porzucić ograniczenia finansowania budżetu dzięki

drukarkom, zaś podpierają się księgowymi sztuczkami znanymi pod nazwą Nowoczesnej Teorii Monetarniej (Modern Monetary Theory, MMT). Nazwa jest zachęcająca, choć jej nowoczesność wątpliwa, skoro ma ponad sto lat. Nie wchodząc w szczególności, teoria ta twierdzi, że całość budżetu można finansować drukiem pieniędzy, a podatki służą tylko temu, by nie pojawiła się inflacja. Co więcej, inflacja ta nie powinna się pojawić, jak długo w gospodarce są wolne moce wytwórcze.

To ostatnie może rzeczywiście tłumaczyć niektóre przypadki, w których dodruk nie przynosi inflacji. Jednak sama teoria – jak każda bazująca na makroekonomii – ma sporo problemów. Z jednej

„białych słoń”, czyli niepotrzebnych wielkich inwestycji, przy otwieraniu których może ograć się polityk. Największy jednak problem MMT to założenie racjonalnego i odpowiedzialnego działania polityków w świecie bez ograniczeń wydatkowych. To zaś jest niewykonalne ze względu na ludzkie ułomności, presję polityczną, kalendarz wyborczy, czy wreszcie zwykłą korupcję. Finansowanie drukiem jest zatem zwykle tabu, którego złamanie prowadzi wprost do Wenezueli.

Te przykre skutki wynikają z tego, że usługi publiczne i inne wydatki jednak realnie kosztują i ten koszt musi być przez kogoś poniesiony w taki lub inny sposób – nawet jeśli są opłacone świeżo wykreowanymi

Finansowanie wydatków dodrukiem w znacznej skali prowadzi do inflacji, ta zaś kosztuje wszystkich posiadaczy gotówki czy obligacji.

strony system podatkowy bardzo słabo nadaje się do bieżącego reagowania na zmiany inflacji, bo wymagają zmian legislacyjnych, wdrożenia w dużej liczbie podmiotów. Po drugie to, co rząd kupuje za wydrukowane pieniądze nie musi odpowiadać temu, co da się wyprodukować wolnymi mocami wytwórczymi – więc możemy mieć i wysoką inflację i bezrobocie. Po trzecie takie stymulowanie gospodarki zniekształca jej strukturę, by dopasowywała się do, niekoniecznie ekonomicznie optymalnych, wydatków państwowych. Powstaje więcej tzw.

pieniędzmi. Finansowanie wydatków dodrukiem w znacznej skali prowadzi do inflacji, ta zaś kosztuje wszystkich posiadaczy gotówki czy obligacji (zwłaszcza tych na stały procent, o czym wiedział nasz premier, kupując obligacje indeksowane inflacją). Jako że proporcjonalnie większą część swojego majątku trzymają w gotówce biedniejsi – to oni zwykle tracą więcej. Twierdzenie Rafała Wosia, że inflacja to nie problem, jak długo płace za nią nadążają, jest zatem nieprawdziwe. Co gorsza, takie „nadążanie” prowadzi do utrwalenia inflacji

w najlepszym przypadku, rozkręcenia spirali płacowo-cenowej w najgorszym. Nie da się wrócić do 2,5% inflacji, jeśli płace rosną w tempie 14%.

Wiele osób słyszało, że przewidywalna inflacja nie jest dla gospodarki kosztowna. To jednak jest prawdą tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z sytuacją

niskich kosztów adaptacji do niej. Niestety inflacja jest szkodliwa dla gospodarki, bo rozregulowuje system, wymagając ciągłych renegocjacji, reindeksacji, zrywania umów długoterminowych. I w takiej sytuacji teraz utknęliśmy na co najmniej kilka lat, bo nawet w optymistycznych prognozach NBP szybciej do celu inflacyjnego nie wrócimy. I rzeczywiście,



Photo by Mufid Majnun on Unsplash

Putin maczał w tej sytuacji swoje paluchy, ale to wciąż bardziej glapińska inflacja niż putinacja. Działania naszego banku centralnego były spóźnione i otoczone zakłębieniami o tym jak to ta sytuacja jest przejściowa, a podnoszenia stóp nie będzie.

Alternatywą dla druku jest zaciąganie długu (choć, jak przytomnie zauważa MMT, to niekoniecznie są rozłączne formy finansowania, jeśli dług publiczny skupuje bank centralny). Fascynujące jest obserwowanie debaty o tym, ile długu państwo mieć powinno, a ile może. Co ciekawe, zadziwiająco mało wiemy na ten temat. Dług na poziomie 250%

Porównanie budżetu państwa i budżetu domowego, choć wydaje się atrakcyjne, nafaszerowane jest zaś niebezpieczeństwami i wątpliwymi analogiami

PKB mają jednocześnie Japonia i Wenezuela, kraje, które w niczym innym nie są do siebie (przynajmniej gospodarczo) podobne. Wielu twierdzi zatem, że poziom długu nie ma żadnego znaczenia. Inni natomiast dogmatycznie nie znoszą deficytu i widzieliby finanse publiczne zawsze zrównoważonymi – lub wręcz z nadwyżką. Padają tu często porównania do budżetu domowego czy spłacania przez przyszłe pokolenia. Obie grupy w sposób oczywisty nie mają racji. Wyższe zadłużenie publiczne jest powiązane z wolniejszym rozwojem gospodarczym, a niewypłacalność państw zdarza się dość często i prowadzi to do zaiste nieprzyjemnych konsekwencji

dla mieszkańców. Z drugiej strony zdrowe i szybko rosnące gospodarki zadłużają się i pomagają tym samym w stabilnym wzroście. Cała amortyzacja pandemii oparta była na długu – i dzięki temu udało się uniknąć zapaści systemowej. Porównanie budżetu państwa i budżetu domowego, choć wydaje się atrakcyjne, nafaszerowane jest zaś niebezpieczeństwami i wątpliwymi analogiami. Dług państwowy rzeczywiście jest spłacany, ale rzadko przez następne pokolenia. Największa część długu państwowego w ujęciu realnym jest spłacana za pomocą inflacji (kosztem grup, o których wspominałem wcześniej), część poprzez łamanie obietnic

dawanych wierzycielom (kosztem tychże). Spłaty wprost poprzez nadwyżki budżetowe to zdarzenia rzadkie, krótkotrwałe i najczęściej na bardzo niewielkie kwoty.

Polska z długiem na poziomie ok 50% PKB i malejącą tendencją (ze względu na wzrost PKB, a nie spadek długu) wydaje się dość bezpieczna i sporo poniżej unijnej średniej na poziomie około 80%. Mamy jednak kilka zasadniczych problemów, w które wpakowali nas rządzący. Po pierwsze nasz budżet to w większości wydatki sztywne z dużym potencjałem wzrostowym. O ile 500+ jest i będzie

programem gasnącym – zwłaszcza przy braku waloryzacji, to 13. i 14. Emerytura to beczki prochu – bo populacja emerytów będzie się drastycznie zwiększać w następnych latach. Jeśli spojrzymy na wydatki publiczne szerzej i doliczymy deficyt FUS, sprawy wyglądają jeszcze gorzej. A na to wszystko dochodzą plany gwałtownych zbrojeń. Nie zamierzam tu debatować nad ich zasadnością, jednak ich wpływ na finanse publiczne jest bezsprzeczny. Bezsprzeczny do tego stopnia, że nawet sami rządzący zmienili odwieczne plany zmniejszania zadłużenia na jego zwiększenie, by sprostać zakupom.

Z drugiej strony rządzący doprowadzili do erozji wpływów budżetowych – zwłaszcza z podatku dochodowego. Polski ład (nazwa dziś wyklęta) okazał się takim buble, że jedynym sposobem na wyjście z tego bałaganu było znaczące obniżenie podatków dochodowych właściwie wszystkim. Wielu się to podoba – pozostaje jednak pytanie – co z powstałą dziurą. Odpowiedzi brak. Całości dopełnia

fakt konfliktu z UE, który powoduje deficyt na kolejnym froncie, a miliardy, które bardzo by nam się przydały, są dalej zamrożone.

Jak więc ocenić stan naszych finansów publicznych? Patrząc na ich powierzchnię, parametry wyglądają dobrze. Patrząc głębiej, widzimy nieuchronne i wielce niepokojące trendy. Czeka nas niewątpliwie podwyżka podatków w takiej czy innej formie (choć pewnie nie będą jej nazywać podatkami – ostatnio to wszystko opłaty, daniny, czy co tam jeszcze). To jednak mało – potrzeba nam dynamicznego wzrostu gospodarczego, by połatać powstające napięcia. Czy uda się go osiągnąć? Dotąd się udawało. Ale dotąd nie było wojny w sąsiedztwie, zamrożonych funduszy unijnych, rosnącego deficytu rynku pracy (liczba nowych emerytów znacząco przekracza liczebność wchodzących na rynek pracy roczników). Sytuacja jest trudna. Ale oczywiście mamy ważniejsze sprawy na głowie – czy papież wiedział o ukrywaniu duchownych molestujących dzieci... ●



TOMASZ KASPROWICZ

Wiceprezes Fundacji Res Publica, redaktor naczelny Res Publica Nowa i *Liberté!*, wykładowca akademicki z doświadczeniem na trzech kontynentach, przedsiębiorca działający w branży IT.

FINANSOWE MONOPOLY

MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA

Patrząc, nawet z grubsza, na stan finansów naszego kraju, dobitnie widać, że takie dodatkowe zajęcia w formie korepetycji z wydawania przydałyby się nie tylko przeciętnemu obywatelowi. Ba! Myślę, że osoby dzierżące stery władzy mogłyby z nich wiele wynieść – z korzyścią dla siebie samych i dla nas – obywateli.



Kiedy jesteśmy młodzi (czytaj: na utrzymaniu kogoś starszego), marzymy tylko o tym, by mieć własne pieniądze i wydawać je w sposób, w jaki tylko zapagniemy. Koniec z wiecznym „nie kupimy tego, nie ma pieniędzy”, „nie kupimy nowego, stare jest sprawne”, „nie kupimy tego, bo to nieprzydatne”. Zderzenie się z prowadzeniem własnego budżetu jest jak gra w monopol – albo kupisz hotel w Wiedniu, albo wylądujesz w więzieniu.

Przyznaję się bez bicia – lubię pieniądze! Ale jeszcze bardziej lubię je wydawać. Osiągnięcie względnej równowagi w zakresie zarządzania tzw. budżetem domowym było dla mnie jednym z najtrudniejszych wyzwań dorosłości i to nie tylko dlatego, że jestem słaba z matematyki i z królową nauk nigdy nie było mi po drodze. Po prostu, wyznaję zasadę, że pieniądze powinny znajdować się w ciągłym ruchu, stąd mój wkład w stymulację ekonomii – wydaję, wydaję i wydaję! Przecież nie od dziś wiadomo, że pieniądze szczęścia nie dają, ale to, co możemy za nie kupić – o, to już zupełnie inna historia. Kiedy planuję (lub markuję planowanie) wydatków na kolejny miesiąc, nierzadko wracam myślami do czasów szkolnych i wspomnianej już matematyki. I nieodmiennie zastanawiam się, czemu uczono nas tylu (obiektywnie rzecz biorąc) niepotrzebnych kwestii, skomplikowanej wyższej matematyki, teorii, definicji, zamiast przygotować do codziennego życia, w tym także zarządzania pieniędzmi i domowym budżetem?

Przecież jeszcze kilkanaście lat temu w programie zajęć znajdowała się p.. nauka nałożenia bandaża czy zakładania maski gazowej, ot tak, na wszelki wypadek, żeby w razie „w” być przygotowanym. Dlaczego więc nie uczymy się od najmłodszych lat, jak efektywnie balansować wpływy *versus* wydatki, jak oddzielać wydatki konieczne od tych pożądaných, a niekoniecznie koniecznych?

Patrząc, nawet z grubsza, na stan finansów naszego kraju, dobitnie widać, że takie dodatkowe zajęcia w formie korepetycji z wydawania przydałyby się nie tylko przeciętnemu obywatelowi. Ba! Myślę, że osoby dzierżące stery władzy mogłyby z nich wiele wynieść – z korzyścią dla siebie samych i dla nas – obywateli. Pisząc „mogłyby wiele wynieść”, mam oczywiście na

myśli wynoszenie wiedzy, kompetencji i umiejętności.

Szkoda więc, że Ministerstwo Edukacji wybiera zajmowanie się tropieniem wymaginowanej rozpusty i zepsutego lewactwa w szkołach, zamiast opracować solidny program edukacji ekonomicznej, wdrażany od najwcześniejszych etapów edukacji i dostosowany do wieku i możliwości uczącego się.

Standardowo więc, grając każdego dnia w to finansowe Monopoly, musimy liczyć na siebie i własny instynkt, aby grę skończyć z dodatnim saldem i hotelem na najdroższej ulicy Wiednia.

Powodzenia! ●

„Antropocen dla początkujących” w Bibliotece Liberté!

Prędzej czy później każdy z nas zmuszony będzie zmierzyć się z pytaniem: czy odnajdę w sobie wystarczająco dużo odwagi i roztropności, by zapobiec zniszczeniu się najczarniejszego scenariusza katastrofy ekologicznej?

„Antropocen dla początkujących” to zbiór literacko-reporterskich rozważań o tym, jak kwestie środowiska naturalnego łączą się z zagadnieniami społeczno-politycznymi, gospodarczymi i kulturalnymi. Autor zabiera czytelników w podróż po zmieniającym się świecie epoki człowieka, w sposób wielowymiarowy ukazując skalę wyzwań i problemów, przed jakimi stawia nas postępujący antropocen.

Eseje Juraszka są opowieścią o tym, co bezpowrotnie utraciliśmy, ale również o tym, co wciąż jeszcze zyskać możemy. O zaprzepaszczonej szansach, ale i nadziejach na nowy, lepszy początek.



MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA

Poznanianka z urodzenia, warszawianka z wyboru. Z wykształcenia politolog, przez wiele lat pracowała w sektorze pozarządowym w Polsce i Wielkiej Brytanii. Aktywistka, od prawie 20 lat zaangażowana w działalność społeczno-polityczną oraz dialog międzykulturowy.

ZŁOTE MALINY 2023 ROZDANE, CZYLI POLSKO-UKRAIŃSKA WOJNA O MALINĘ

BARTŁOMIEJ AUSTEN

Wybory bowiem już niedługo i zarówno rząd, jak i opozycja będą wykorzystywać każdą okazję, by przejąć elektorat wiejski, bo według wszelkich badań, to ten elektorat może zdecydować na jesieni o wynikach wyborów, przy różnicy dosłownie 2-3%, które dzielą opozycję od przejęcia władzy lub drugiej strony – od jej utrzymania.

Dnia 2 maja, pomiędzy jednym świętem a drugim, w dzienniku ustaw RP ukazało się rozporządzenie, w którym sekretarz Buda z Ministerstwa Rozwoju i Technologii (czemu akurat rozwoju i technologii?) uchylił w całości niedawno wprowadzony zakaz importu wszystkich produktów rolnych z Ukrainy. Tego też samego dnia ukazało się rozporządzenie wykonawcze Unii Europejskiej wprowadzające środki zapobiegawcze dotyczące niektórych produktów rolnych z Ukrainy. Niektórych, bo na czwartej stronie tego krótkiego rozporządzenia wymieniono, że dotyczy to po kodach celnych nieprzetworzonej pszenicy, kukurydzy, rzepaku i nasion słonecznika.

Sprawa się jednak absolutnie nie skończyła. To dopiero początek i z pewnością będziemy mieli ciąg dalszy. Wybory bowiem już niedługo i zarówno rząd, jak i opozycja będą wykorzystywać każdą okazję, by przejąć elektorat wiejski, bo według wszelkich badań, to ten elektorat może zdecydować na jesieni o wynikach wyborów, przy różnicy dosłownie 2-3%, które dzielą opozycję od przejęcia władzy lub drugiej strony – od jej utrzymania. Szkoda tylko, że widzimy już teraz po tych trzech tygodniach, że odbywa się to kosztem prawdy, kosztem naginania liczb i faktów i cała ta propagandowa burza, która przetoczyła się w polskich mediach, ma bardzo niewiele

wspólnego z rzeczywistością. Kłamią świadomie i nieświadomie wszyscy – zarówno rząd, jak i większość opozycji. Najsmutniejsze w tym we wszystkim jest to, że nie natknąłem się w tej dyskusji na chociaż jeden przypadek skontrolowania przez dziennikarza, nawet ekonomicznego, tych oczywistych bzdur opowiadanych przez zaproszoną jedną czy drugą stronę¹.

Skupię się w tym tekście na tym, na czym się znam, czyli na mrożonych owocach, bo zajmuję się tym zawodowo od prawie dwudziestu lat. Zboże zostawię innym.

Słyszemy od strony rządowej i od strony opozycyjnej, np. posła Maliszewskiego z PSL, który notabene jest lobbystą (i nic w tym złego), bo reprezentuje jedną stronę konfliktu, czyli Sadowników RP, że Polskę zalewają sprowadzane z Ukrainy mrożone owoce i warzywa. Wspomina się o 50 tys. ton sprowadzonych do Polski w zeszłym roku malin, czy straszy ukraińską truskawką. Co do tej drugiej – mijają się to z prawdą, bo jak się spojrzy na dane za zeszły rok dotyczące ilości mrożonej truskawki dostarczonej z Ukrainy do Polski, to widać, że są to ilości minimalne przy naszej produkcji. Ukraina nie jest żadną konkurencją dla Polski w tym owocu. Egipt, Maroko – tak, ale w żadnym wypadku Ukraina.

¹Po napisaniu tego tekstu przeczytałem artykuł Witolda Gadomskiego: „Ukraińskie zboże jest «skażone» tak, jak «trujące» były polskie wędliny w Czechach”, który trochę unieważnia moje kategorijskie stwierdzenie.

Okej. Rzeczywiście do Polski z Ukrainy od wielu lat sprowadza się sporo ukraińskiej mrożonej maliny, sporo też mrożonych jagód leśnych, grzybów, owoców dziko rosnących np. rokitnika, czarnego bzu, leśnych jeżyn. Wszystkich tych, które rosną same z siebie – nie wymagają specjalnej pielęgnacji i zabiegów takich, jak np. truskawka. Przy takich owocach liczy się koszt pracy, bo to on jest głównym składnikiem ceny, a praca za godzinę na Ukrainie kosztuje poniżej 10 PLN za godzinę. W Polsce – 2 razy tyle. Na Ukrainie też ziemia jest tania. Cała jest bowiem własnością państwa. Można ją za

która by je produkowała. Nie ma też (w odróżnieniu od polskiego sąsiada) żadnych dopłat do ich stosowania, a kredyty są na poziomie 25% i nikt ich nie bierze, bo by zbankrutował przy tych cenach sprzedaży. Wierutną bzdurą jest też tym samym zarzut, że ukraińska malina jest nieprzebadana i zagraża zdrowiu polskiemu, unijnemu konsumentowi. Od przynajmniej ośmiu lat ta malina trafia na europejski rynek i wielokrotnie była badana pod kątem pestycydów przez różne unijne służby. Przez te lata nie słyszałem o żadnym przypadku, by gdzieś je znaleziono. A były takie przypadki dotyczące

Kłamią świadomie i nieświadomie wszyscy – zarówno rząd, jak i większość opozycji

grosze jedynie wydzierzawić, następnie posadzić tam np. malinę, która będzie sama z siebie organicznie rosła. Co roku można wydzierzawić kolejny hektar, przesadzić część malin z już posiadanego terenu na nowy i tak areał rośnie. Arealy ukraińskie są przez to dużo większe niż polskie.

Wydajność jest przy takim sposobie gospodarowania bardzo niska. Często 2-3 razy niższa niż w Polsce. Ukraiński plantator – w odróżnieniu od polskiego – nie używa w ogóle pestycydów, bo go na nie nie stać. Musiałby je importować, bo na Ukrainie nie ma żadnej fabryki,

polских czy serbskich malin. W zeszłym roku w Polsce takiego przypadku na pewno nie było, mimo wielu zleconych przez polski rząd Sanepidowi kontroli. A nie było, bo nie mogło być, gdyż ta malina w 99% przypadków jest organiczna.

Poseł Maliszewski, jak i przedstawiciele rządu powtarzają jak mantrę, że do Polski przyjechało 50 tys. mrożonych malin, które są konkurencją dla polskich sadowników. Zapominają jednak dopowiedzieć, że na Ukrainę miesięcznie wjeżdża z Polski 1-1,5 tys. ton mrożonej frytki. Na Ukrainie nie ma ani jednej fabryki



Photo by Lance Grandah on Unsplash

produkcją frytki. Co miesiąc też eksportujemy na Ukrainę drugie tyle produkowanych w Polsce mrożonych brokułów, kalafiorów, szpinaku. Na Ukrainę jedzie wszystko to, czego nie da się zebrać ludzkimi rękami, np. mrożona wiśnia. Trzeba do tego kombajnów, trzasaerek, trzeba skomplikowanych linii produkcyjnych, tuneli mroźniczych, blanszowników, od-peschczarek, również zachodnich środków

nawożenia i ochrony roślin. Wszystkiego tego, czego Ukraina nie ma, a my mamy, bo dała nam, polskim rolnikom i przetwórcom – w pewnym uproszczeniu – Unia. To wszystko, co tego sprzętu wymaga, szerokim strumieniem eksportujemy na Ukrainę. Sprzedajemy im przetworzone zamrożone warzywa, owoce, a w zamian bierzemy od nich głównie nieprzetworzony, ewentualnie wstępnie oczyszczony,

zamrożony surowiec. O tym już nasi prezentujący tylko tunelowe myślenie politycy, komentatorzy, eksperci nie wspominają.

Tak samo nie wspominają, że z tych 50 tys. mrożonych malin, które trafia do Polski, niewiele finalnie w Polsce zostaje. Może 20, maksymalnie 25%. Te maliny są w polskich zakładach przerabiane na różne klasy i eksportowane dalej w świat. Są przerabiane na dżemy, lody, soki, jogurty. Są zamrożone polewane czekoladą i sprzedawane do Stanów Zjednoczonych. To dzięki nim polscy przetwórcy mają poprzez pozyskanie taniego surowca możliwość konkurencyjności z niemieckimi producentami. I tę walkę wygrywają. W tej branży spożywczej naprawdę odnieśliśmy duży sukces, który teraz

do którego od lat finalnie się dopłaca i ciągle okazuje się, że za mało.

Tutaj jednak wkracza brutalny świat polityki i jego wyborcza arytmetyka nie mająca nic wspólnego z ekonomią. Lepiej mieć głosy 100 plantatorów niż głos jednego producenta. Producentów będzie zawsze mniej niż sadowników. W 2014 roku po inwazji Rosji na Krym i Donbas Ukraina straciła większość swojego rynku eksportowego, który był ukierunkowany na Rosję. Dlatego została w zamian od Unii (której my również, o czym większość polityków w Polsce w 2023 roku raczyła zapomnieć - byliśmy i jesteśmy wciąż członkiem) zaproszenie do wspólnego unijnego rynku rolnego. Dano Ukraińcom możliwość wyrobienia EUR1 na te-

Na Ukrainę miesięcznie wjeżdża z Polski 1-1,5 tys. ton mrożonej frytki. Na Ukrainie nie ma ani jednej fabryki produkującej frytki. Co miesiąc też eksportujemy na Ukrainę drugie tyle produkowanych w Polsce mrożonych brokułów, kalafiorów, szpinaku

chcemy sami sobie zabrać, pozbawiając się dostępu do taniego surowca. Oczywiście jest przecież, że większą wartość dodaną uzyska się produkując z maliny, niż zbierając tę malinę. Większe podatki zapłaci do kasy samorządowej, państwowej ten producent niż rolnik,

renie Ukrainy, dzięki czemu malina ukraińska zyskała możliwość konkurencyjności z jej europejskimi odpowiednikami. Okazała się konkurencyjna dla serbskiej, polskiej czy chińskiej. Wygrywa tak, jak ich leśna jagoda, ale nie wszystkie owoce i warzywa z Ukrainy mają

tyłe szczęścia. Truskawka, wiśnia, porzeczka, brokuł i szpinak przegrywają. Wygrywa za to Polska, która jest korytarzem transportowo-produkcyjnym dla tych ukraińskich produktów, które przebijają się na unijny rynek.

Należy też wspomnieć o tym, że 24 lutego 2022 roku wiele tu zmienił. Wyprowadzony atak z Krymu na Chersoń sprawił, że ten najbardziej rolniczo żyzny rejon Europy przestał

eksporterzy z każdym rokiem stopniowo omijali Polskę jako pośrednika i trafiali bezpośrednio do francuskich, belgijskich, niemieckich producentów, maksymalizując zyski. Wojna jednak znowu wszystko zmieniła. Żaden Hiszpan, Francuz nie zaryzykuje wyłożenia 80 tys. euro za auto mrożonych malin. Żaden Hiszpan, Francuz nie przyjedzie do Chmielnickiego na magazyn sprawdzić jakość tego towaru. Polak mimo wojny przyjedzie. Przyjedzie, kupi i po-

Tutaj wkracza brutalny świat polityki i jego wyborcza arytmetyka nie mająca nic wspólnego z ekonomią. Lepiej mieć głosy 100 plantatorów niż głos jednego producenta

w dużej mierze produkować. W tym roku zaczęliśmy sprzedawać na Ukrainę np. mrożoną paprykę. W poprzednich latach ją od niej kupowaliśmy. Sporo ukraińskich firm eksportujących mrożonki przestało istnieć. Została około połowa. Reszta albo trafiła pod rosyjską okupację, albo ich fabryki zostały, tak jak jeden z naszych znajomych pod Charkowem, zniszczone przez rosyjskie bomby. Te, które przetrwały, miały problem z pozyskaniem stabilnego źródła prądu wskutek wojny energetycznej – na szczęście finalnie przegranej przez Rosję. Wydarzenia z 2022 roku znowu pokazały, jak elastyczni i odważni są polscy przedsiębiorcy. Od 2015 roku do tego momentu ukraińscy

tem sprzeda temu Hiszpanowi, co się boi przyjechać. To też powód, dla którego te mityczne 50 tys. mrożonych malin przejechało w zeszłym roku przez polską granicę. Powinniśmy być z tego dumni. Wojna paradoksalnie stała się szansą dla polskich przedsiębiorców, producentów, którą wykorzystujemy. Znowu, tak jak w 2015 r., Polska kontroluje większość eksportu z Ukrainy.

Unia Europejska wyewoluowała z Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Tak naprawdę z unii celnej. Celem Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali było utworzenie wspólnej puli produkcji węgla i stali, aby konkurować z innymi rynkami



i zapobiec tym samym kolejnej wojnie pomiędzy jej członkami. Podwaliną Unii Europejskiej była więc unia celna. Nie prawa kobiet, nie praworządność. Dopiero potem upływające lata sprawiły, że Unia zaczęła się mocno integrować. Uderzenie więc polskiego rządu, by ugrać te 2-3% głosów na wsi we wspólną unijną politykę rolną jest naprawdę uderzeniem w fundament unii jakiegokolwiek, nie tylko europejskiej, bo od unii celnej zaczyna się historia większości znaczących organizacji istniejących w tej chwili na naszej planecie. Trzeba być naprawdę skrajnym szkodnikiem i populistą, by mając z jednej strony na szali te potencjalne 2-3% głosów, a z drugiej strony naszych przyjaciół z Ukrainy, naszych przyjaciół z Unii i przede wszystkim nasz interes gospodarczy, wybierać te 2-3%.

Pamiętajmy o tym, jak za jakieś 2 miesiące temat mrożonych malin i kolejnego embarga znowu wróci, a wróci, kiedy zaczną się zbliżać nowe zbiory letniej maliny. Oczywiście, że plantatorom malin należy pomóc. Naprawdę im współczuję. Jednak pomagając im, trzeba pamiętać o szerszym horyzoncie i nie zaszkodzić

polskim przetwórcom i producentom, tak żeby dalej Niemiec w niemieckim Lidlu w Dreźnie jadł lody produkowane przez polską firmę z ukraińskich malin. Jak będziemy chcieli, żeby te lody były produkowane w polskiej fabryce z polskich malin, to finalnie może się okazać, że przesadziliśmy. Wtedy okaże się, że ten Niemiec w tym niemieckim Lidlu w Dreźnie będzie jadł lody produkowane w Niemczech albo w Czechach, produkowane z ukraińskiej maliny. Tak samo jak Kowalski w niemieckim Lidlu w mojej rodzinnej Gdyni. Świat naprawdę jest dużo bardziej skomplikowany, niż się polskim politykom i komentatorom wydaje. ●



BARTŁOMIEJ AUSTEN

Były wiceprzewodniczący regionu pomorskiego Nowoczesnej, były kandydat Nowoczesnej na urząd Prezydenta miasta Gdynia, były koordynator powiatu Gdynia.

SAME DOBRE POMYSŁY

PIOTR BENIUSZYS

Podczas gdy lewica w swojej zazdrości wobec „odwagi” i „kreatywności” PiS była niewątpliwie szczerą, dawniej liberalne centrum stanęło przed twardym orzechem do zgryzienia. Ale, jak mawia się w świecie anglosaskim, „naśladownictwo jest najbardziej szczerą formą komplementu”.

Być może nawet od czasu wejścia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. nie było w polskiej polityce większego (pozwolę sobie sięgnąć do słownika kolegi redaktora Michała Kolanko) „game-changera” niż świadczenie 500+. Prezentowane w narracji nowego wówczas rządu PiS jako środek nadzwyczajny, bo zorientowany głównie na cele demograficzne, szybko poniosło w tym zakresie widoczną klęskę i odkryło swoją naturę programu czysto socjalnego – i to wykoślawionego, bo skierowanego w równej mierze do rodzin potrzebujących na chleb i odzież, jak i tych potrzebujących co najwyżej na upgrade do „all inclusive plus plus” w trakcie najbliższych wakacji na Maledivach. Jednak niepowodzeniem demograficznym programu nikt w PiS ani chwili się nie przejmował, bo 500+ nigdy nie miało za cel dokonania tam realnej rewolucji (taka rewolucja nie jest możliwa, bo kryzys dzietności wynika z postaw społecznych, a nie finansowych bolączek młodych Polek i Polaków). Program miał cele partyjno-polityczne (przywiązanie znacznego elektoratu do partii władzy i umocnienie jej wizerunku jako głównej partii pro-socjalnej w Polsce) oraz polityczno-strategiczne (zmianę treści politycznej rywalizacji, gdzie rola polityki miała ulec zmianie, czyli przejściu od logiki reform złożonych systemów instytucjonalnych państwa do prostego rozdawania pieniędzy budżetowych rokującym wyborczo adresatom społecznym).

W zakresie obu tych zadań program 500+ odniósł zdecydowany sukces. Opiewany i czczony niczym Achilles pod Troją zarówno przez suto opłaconych

klakierów partii władzy z prawicowych pisemek i telewizji reżimowej, jak i przez wielu lewicowych publicystów, niewątpliwie zieleniejących z zazdrości na widok prawicy odbierającej lewicę polityczny chleb, został uznany nowym „złotym standardem” polskiej polityki. Z uprzednio rządzących ekip rządowych, które naiwnie dbały o stan finansów państwa (widząc w tym, jeszcze bardziej naiwnie, długofalowe zadanie polityki), otwarcie sobie dworowano, iż „mówiły, że nie ma pieniędzy, a są”, że „program działa” (trudno żeby proste przelewy na konta nie „działały”...), że PiS miał „dobry pomysł” (jakby zwyczajne rozdanie ludziom pieniędzy wymagało newtonowskiej umysłowości) i teraz na zawsze będzie kojarzony z „dotrzymaniem obietnic”.

Podczas gdy lewica w swojej zazdrości wobec „odwagi” i „kreatywności” PiS była niewątpliwie szczerą, dawniej liberalne centrum stanęło przed twardym orzechem do zgryzienia. Ale, jak mawia się w świecie anglosaskim, „naśladownictwo jest najbardziej szczerą formą komplementu”. Dlatego – przechodząc przez bolesny etap „nic co dane, nie będzie zabrane” – kilkanaście procent inflacji rok do roku i kilkaset miliardów złotych długu publicznego później, centrowa opozycja dotarła do etapu gotowości na licytowanie się z PiS na świadczenia socjalne w kampanii wyborczej 2023 r.

Być może trzeba postarać się to zrozumieć. Po pierwsze, polityka gospodarcza, polityka socjalna i stan finansów są co prawda zawsze bardzo

ważne dla perspektyw przyszłości państwa i społeczeństwa, lecz jednak w realiach stworzonych przez dwie kadencje PiS – tak, tak – nie są to już rzeczy najważniejsze. (Najważniejsze to one bowiem są w normalnych państwach, czyli nie tu). Stojąc u progu prawdopodobnej trzeciej kadencji PiS (czyli – napiszmy to, niech odbije się na tych kartach czarno na białym – 12 lat rządów PiS), stoimy wobec perspektywy końcowego domknięcia demontażu państwa prawa, w którym obywatele stracą wszystkie fundamentalne wolności, wybory przestaną być wolne, media niezależne przestaną istnieć, cele zaludnią się więźniami politycznymi, a przedsiębiorcy i tak potracą firmy (chyba że

dla wdrożenia pisowskiej kampanii polexitowej. Jakie skutki dla geopolitycznego położenia i narodowego bezpieczeństwa Polski miałby w obecnym świecie polexit, pozwolę sobie dalej nie rozjaśniać. Wiadomo, że i to wyzwanie jest ważniejsze od finansów państwa.

Po drugie, centrowe siły polityczne, które może i czułyby jeszcze jakąś „miętę” do liberalnej wizji polityki społeczno-gospodarczej – czyli, dajmy na to, PO, Nowoczesna i Polska 2050 – wiedzą, że nawet jeśli rzutem na taśmę opozycja zgromadzi w nowym Sejmie 231 głosów poselskich, to w skład tej koalicji niechybnie wejdą także postowie PSL

Stojąc u progu prawdopodobnej trzeciej kadencji PiS (czyli – napiszmy to, niech odbije się na tych kartach czarno na białym – 12 lat rządów PiS), stoimy wobec perspektywy końcowego domknięcia demontażu państwa prawa, w którym obywatele stracą wszystkie fundamentalne wolności

wślizną się gładko w system klientelistyczny wzorem wielu swoich węgierskich kolegów po fachu). Zapobieżenie temu jest ważniejsze od finansów państwa. Stojąc u progu trzeciej kadencji PiS, stoimy ponadto wobec perspektywy sterowanego przez ośrodki rządowe załamania się poparcia społeczeństwa dla członkostwa w UE, które to poparcie jest już dzisiaj może jedyną efektywną przeszkodą

i Lewicy, którym znacznie bliżej do pisowskiej wizji polityki socjalnej niż do dbałości o grosz publiczny. Lider, merdającej Lewicy niczym ogon psem, Partii Razem, pan Adrian Zandberg, chyba prędzej poszedłby w pierwszym szeregu Marszu Niepodległości niż zagłosował w Sejmie za cięciem któregośkolwiek z pisowskich świadczeń socjalnych lat 2015-23.



A lista tych świadczeń jest całkiem pokaźna. Za każdym z nich naturalnie stoją żywotne interesy grup wyborców, których wspólną cechą jest dbałość o własny budżet domowy i nikłe zainteresowanie budżetem państwa (dług i tak spłacą raczej dzieci). Tam, gdzie inne ekipy rządowe (te naiwne, sprzed kopernikańskiego przełomu roku 2015) kombinowałyby nad jakimś – pożał się Boże – rozwią-

po 3000 zł wszystkim, którzy zadeklarują palenie węglem w domach. Młodzi nie mają szans na kredyt hipoteczny? Dostaną kredyt gwarantowany na 2%. Rodzice od czasów 500+ nic nie dostali? Mamy dla nich po 12.000 zł na drugie i kolejne dziecko w wieku od 12 do 36 miesięcy. Tylko gdy do góry szła płaca minimalna, to jakimś cudem nie obejmowała budżetówki (to logiczne: podniesienie

Tylko gdy do góry szła płaca minimalna, to jakimś cudem nie obejmowała budżetówki (to logiczne: podniesienie jej tylko w sektorze prywatnym zwiększa wpływy do budżetu), wobec czego dzisiaj lepiej kasować zgrzewki coli w Lidlu niż uczyć fizyki w szkole publicznej

zaniem systemowym, PiS sprawnie sypał gotówką. Emeryci w znacznej większości głosują na PiS? Dostaną szczodre rewaloryzacje, trzynaste i cztertnaste świadczenie. Nie wydaje się zresztą, że tutaj ostatnie słowo zostało powiedziane! W końcu matematyka zna wiele kolejnych liczb wyższych niż 14. Wydobycie węgla w polskich kopalniach jest deficytowe i ich długi rosną? Górnicy dostaną dodatki do pensji. Polskę zalewa import ukraińskiego zboża? Rząd zagwarantuje skup po cenach znacznie powyżej ceny rynkowej. Inflacja dotyka silnie nawozy? Rolnicy dostaną do nich dopłaty, a przy okazji do paliwa także – w końcu również bynajmniej nie tanieje. Rosną ceny energii? Rząd rozda

jej tylko w sektorze prywatnym zwiększa wpływy do budżetu), wobec czego dzisiaj lepiej kasować zgrzewki coli w Lidlu niż uczyć fizyki w szkole publicznej.

W ubiegłym roku dodatkowy koszt tego rodzaju polityki wyniósł prawie 58 miliardów zł. Z badań analityków Warsaw Enterprise Institute wynika, że jest ona odpowiedzialna za co najmniej jeden punkt procentowy z obecnej inflacji, co oznacza że jej koszt dla każdego polskiego pracownika sięgnął 1 500 zł. Pracujący rodzic jednego dziecka 500+ zaczyna otrzymywać więc *de facto* dopiero w drugim kwartale.



Photo by Alexos_Fotos on Unsplash

Wobec takiego wolumenu świadczeń ze strony socalnego czempiona PiS opozycja nie ma łatwego wejścia w licytację. PO proponuje kredyt gwarantowany na 0% (zamiast 2%), więc tutaj rzeczywiście skutecznie podbiła stawkę. Ciekawym ciosem Platformy jest także „babciowe”, a więc świadczenie dla kobiet, które szybko wrócą na rynek pracy po urodzeniu dziecka. Słyszymy tutaj, że to świadczenie samo się finansuje dzięki wpływom budżetowym generowanym przez aktywność zawodową tych młodych kobiet. Partia jednak posługuje się tutaj ryzykownym założeniem, że bez tego świadczenia

żadna z kobiet by na rynek pracy nie wróciła i tych dochodów nie generowała.

Lewica całkiem słusznie krytykuje natomiast pisowsko-platformiany pomysł, aby dopłacać do kredytów mieszkaniowych. Zarówno kredyty na 2%, jak i na 0% w oczywisty sposób będą zwiększać popyt na mieszkania, a co za tym idzie – windować ich ceny. To forma transferowania środków publicznych do skarbców banków i na konta firm deweloperskich. Rzeczywiście lepszą metodą kształtowania rynku mieszkaniowego w obecnych realiach stóp

procentowych, (nie)dostępności kredytów, wysokości czynszów w dużych miastach byłoby zwiększanie podaży mieszkań. (To zresztą ciekawe, bo zwykle to lewica domaga się stosowania w polityce gospodarczej ekonomiki popytu, a za stosowanie ekonomiki podaży krytykuje liberatów czy prawicę – ta zamiana miejsc bardzo dużo mówi o obecnym toku myślenia polskich polityków rzekomo liberalnego centrum). Tyle że Lewica stawiać bloki mieszkalne chce poprzez wyłącznie państwowy program budowy mieszkań, co zaś kosztowałoby tak dużo, że w tym artykule chyba nie ma miejsca na taką ilość zer...

Takie są realia polityki kampanijnej w Polsce osiem lat po przełomie 2015 r. Wtedy zdawało się, że taka partia jak PiS swoje nieczne zamiary względem ustroju państwa, niezależności sądów, konstytucyj-

nych praw obywateli, wolności słowa i mediów oraz swoją zwyczajną pazerność musi skrzętnie skrywać za fasadą pięknego, błyszczącego i atrakcyjnego pakietu nowych socjalnych świadczeń. Druga strona, najpóźniej po 4 latach pirowskiej dewastacji państwa, miała móc oprzeć swoją walkę o głosy o wzniosłe hasła przywrócenia demokratycznych wartości. Tymczasem kolejne 4 lata później chyba już wiemy, że wzniosłe hasła i demokratyczne wartości można sobie w Polsce oprawić w ramkę i postawić je dla dekoracji nad muszlą klozetową. Dla większości wyborców liczy się bowiem tylko konkretna złotówka i to tu i teraz. Demokratyczna opozycja wchodzi więc na swoistą terra incognita i zaczyna walkę o przywrócenie państwa prawa oraz Polski na łono cywilizacji zachodniej uzbrojona w „dobre pomysły” szastania publicznymi pieniędzmi. ●



PIOTR BENIUSZYS

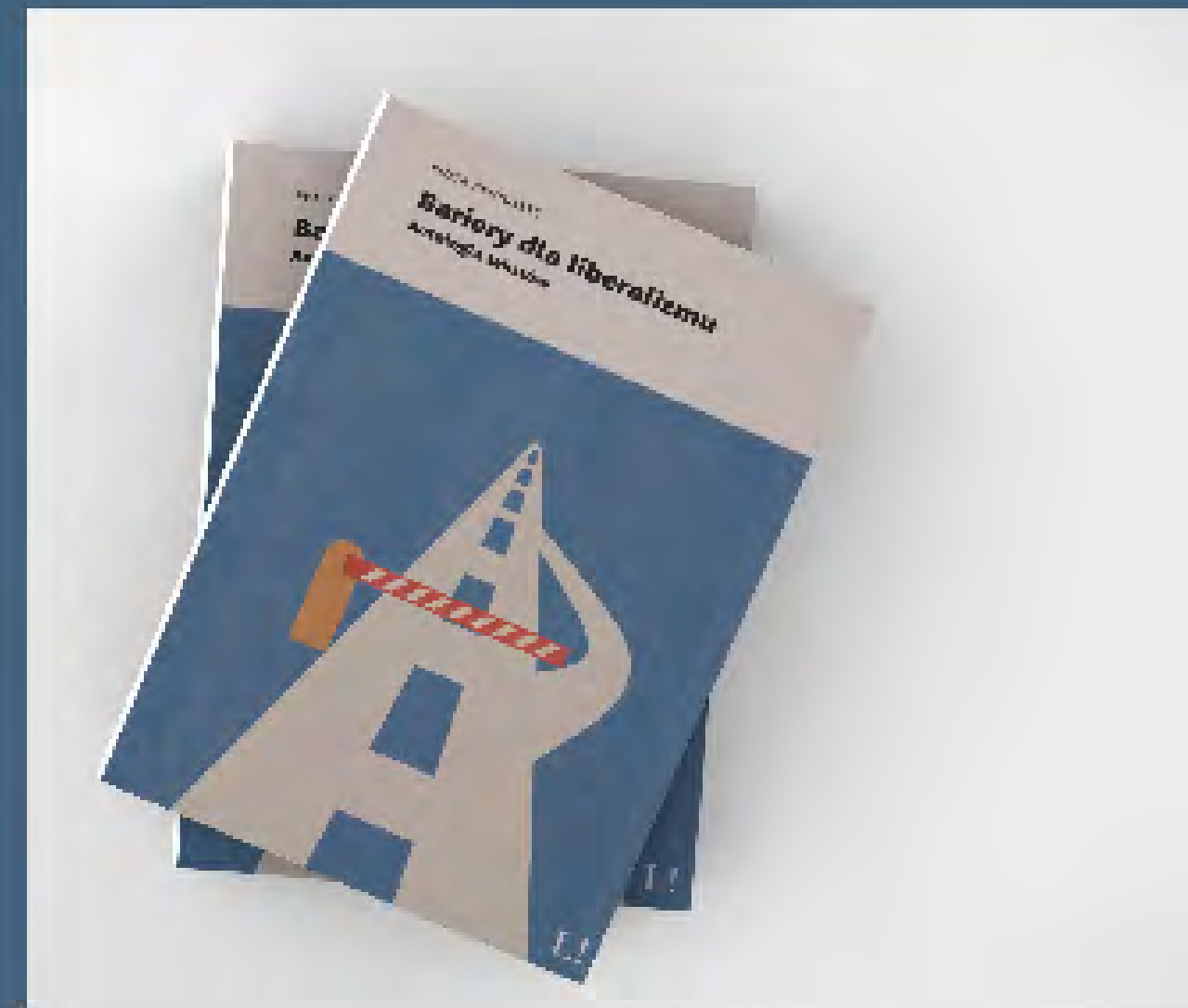
Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!”, pisał także na łamach „Gazety Wyborczej”, tygodnika „Polityka”, „Dziennika Gazety Prawnej” oraz dla Instytutu Obywatelskiego. Autor książki „Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów” (Biblioteka Liberte, 2022).
Twitter: @piotr_beniuszys

L!

„Bariery dla liberalizmu” Piotra Beniuszysa w Bibliotece Liberté!

Wracając do „Bariery dla liberalizmu” – jest to nie tylko książka, ale przede wszystkim zbiór tekstów, które w sposób zaskakujący i nieoczywisty, a także w sposób niezwykle ciekawy i inspirujący, ukazują, jak bardzo różnorodny jest świat liberalizmu. W tym kontekście warto wspomnieć o „Bariery dla liberalizmu” – to nie tylko zbiór tekstów, ale przede wszystkim zbiór tekstów, które w sposób zaskakujący i nieoczywisty, a także w sposób niezwykle ciekawy i inspirujący, ukazują, jak bardzo różnorodny jest świat liberalizmu.

Książka dla każdego, kto chce się dowiedzieć, jak działa liberalizm i dlaczego jest tak ważny. To nie tylko zbiór tekstów, ale przede wszystkim zbiór tekstów, które w sposób zaskakujący i nieoczywisty, a także w sposób niezwykle ciekawy i inspirujący, ukazują, jak bardzo różnorodny jest świat liberalizmu. W tym kontekście warto wspomnieć o „Bariery dla liberalizmu” – to nie tylko zbiór tekstów, ale przede wszystkim zbiór tekstów, które w sposób zaskakujący i nieoczywisty, a także w sposób niezwykle ciekawy i inspirujący, ukazują, jak bardzo różnorodny jest świat liberalizmu.



CELEBROWANIE RÓŻNICY. PLURALIZMY I METAFORY

PIOTR GÓRSKI

Na ogół na pluralizm patrzymy przez pryzmat współżycia społecznego różnych grup, których członkowie postępują według niewspółmiernych systemów wartości. Jednak nawet w obrębie tych wspólnot występują znaczne różnice między ludźmi w sposobach odbierania i postrzegania świata, komunikowania się, a także kluczowych czynników przy podejmowaniu decyzji.

Któż nie przyzna się, że wobec Innych jest co najmniej tolerancyjny. Czasami pojawi się do nich akceptacja czy wręcz uznanie. Często jednak przejawia się to zwyczajnym byciem obok, dzieleniem wspólnej przestrzeni, przygodnym przecięciem się ludzi w danym miejscu i czasie, zrzędzeniem losu, na które niewiele możemy poradzić. A jeśli chcielibyśmy wpłynąć na tę sytuację, konieczne byłoby użycie przemocy fizycznej, słownej czy symbolicznej. Na ogół jednak do tego nie dochodzi. A gdy już się zdarzy, wywołuje raczej oburzenie. Raczej, bo zawsze znajdują się przyklaskiwacze odnajdujący w akcie przemocy przyjemność.

Przemoc i tożsamość

Odpowiedzią na takie zachowanie są dobrze znane tłumaczenia. Nie mam nic przeciwko nim, ale ich miejsce jest na innym kontynencie, w innym państwie, w innym mieście, na innym osiedlu, w innym bloku. Niech tam sobie żyją. Tam mogą robić co chcą. Nie moja sprawa. To mi nie przeszkadza. Wtedy taka osoba ze swoimi poglądami też im nie przeszkadza. Jest ładnie, czysto, przyjemnie, nie ma miejsca na konflikt, a może – co ważniejsze – nie rodzą się dylematy etyczne i moralne. Czyż świat nie byłby lepszy, a przynajmniej lepiej funkcjonował, gdyby wszyscy byli podobni, myśleli w zbliżony sposób? Skoro jednak to nie jest możliwe, to niech będzie podzielony na enklawy podobnych osób. Wystarczy tylko dbać i pielęgnować te podobieństwa, a wszystko będzie dobrze. Zapanuje

powszechna szczęśliwość. No może nie zupełnie, bo wewnętrzna jedność zawsze zostaje zakłócona przez jakieś spory, różnice zdań czy interesów, ale nie ma co dokładać jeszcze problemów nadmierną różnorodnością. Nie dopuścić do tej plagi to obowiązek każdej zdrowo myślącej osoby, najwyższe zadanie etyczne czy moralne. Cóż lepiej może usprawiedliwiać wszelkie formy przemocy?

Drugim dobrze znanym uzasadnieniem akceptacji przemocy jest formuła „nie ma tolerancji dla braku tolerancji”. Zestawiając tak różne przykłady uzasadnień przemocy nie chodzi o to, by je zrównywać. Takie próby skończyłyby się niepowodzeniem. O ile ten pierwszy łączy się z segregacją przestrzenną, a przede wszystkim może, a często dotyczy różnic niezbywalnych lub bezpośrednio silnych tożsamości, to nietolerancyjna tolerancja dotyczy w głównej mierze określonych przeświadczeń, przekonań, nastawienia, sposobu myślenia, choć niekiedy wynikają one lub są częścią silnej tożsamości. Odnosi się więc ona do tej części nas, która może ulec zmianie, nie wpływając na naszą tożsamość – przynajmniej w założeniu osób dzielących tę postawę. W jej przypadku chce się przemoc wyeliminować, nie dopuścić do jej rozprzestrzeniania. W tym celu albo napiętnuje się zachowania i wypowiedzi – słownie lub symbolicznie, na poważnie lub szyderczo, tak by nie tylko osoby głoszące nietolerancyjne hasła zaprzestały tego, ale także by było to przykładem dla pozostałych

– albo ignoruje czy przemilcza, co może być odbierane również jako co. Jednak jak wiadomo z psychologii, intencjonalne milczenie bywa również formą przemocy. Opowieści grup zmarginalizowanych, niesłyszanych potwierdzają taką tezę, choć oczywistą intencją ich członków i badaczy jest doprowadzenie do wyjścia takich osób z cienia często wywołanego właśnie przemocowymi działaniami osób i wspólnot nastawionych na podobieństwo.

W przypadku tolerancji nietolerującej nietolerancji bardziej przekonuje uzasadnienie przemocy. To odpowiedź na intencjonalne działania

czy silnych tożsamości w społeczeństwie liberalnym nie sposób tak postąpić. Do cech niezbywalnych zaliczyć można pochodzenie, a więc etniczność, kolor skóry, klasowe korzenie rodzinne czy wiek. Co prawda, daty urodzenia nie możemy legalnie zmienić, to jednak możemy sobie dodawać lub odejmować lat – możemy mentalnie czuć się na starszych lub młodszych, wyglądać dojrzalej lub znacznie poniżej swojego wieku, i choć te aspekty często odgrywają większą rolę niż PESEL, to tylko on jest podstawą ochrony prawnej. Do kategorii silnych tożsamości należy natomiast zaliczyć wyznawaną religię, tożsamość płciową, orientację seksualną

Z perspektywy praw człowieka jedno z pytań brzmi: czy można dyskryminować tych, którzy dyskryminują? Czy można wobec nich stosować tę formę przemocy?

nietolerancyjnych osób, które uznajemy za szkodliwe dla członków rodzin, sąsiadów, współobywateli czy po prostu ludzi. Jest więc wynikiem tego, co uchodzi za coś przygodnego, coś co można zmienić, jest bowiem kwestią woli, w domyśle złej woli, choć przecież dobre intencje nie zabezpieczają przed stosowaniem przemocy, a często utrudniają jej dostrzeżenie. Uznając działania i poglądy nietolerancyjne za wolicjonalne, a więc mogące ulec zmianie, można przestrzegać je za niedopuszczalne, a nawet zabronić prawem. W przypadku cech niezbywalnych

czy przynależność klasową. Taka lista pokrywa się z wymienionym w prawach człowieka katalogiem zabronionych powodów dyskryminacji. W nim znajduje się jeszcze światopogląd oraz przekonania polityczne i społeczne, a więc bezpośrednio dotyczące omawianego problemu.

Czy wolno dyskryminować dyskryminujących?

Jest to też najbardziej zawila kwestia, być może jedno z tych zagadnień, które nie mają ostatecznie jednoznacznych odpowiedzi. A próbując



Photo by Priscilla Du Preez on Unsplash

je rozwikłać, popadamy w błędne koło lub sprzeczność nierozwiązywalną na mocy logiki. Potrzeba pewnej gimnastyki intelektualnej, by jakoś sobie poradzić z trudnościami, albo mieć nadzieję na przyjęcie na słowo pewnych zasad i liczenie, że nikt nie będzie nadmiernie drążyć tematu, a już na pewno swoimi działaniami rzucał wyzwania normom. W przeciwnym razie może być problem, by stały się common sensem nie wymagającym uzasadnienia, oczywistością

jakich wiele, nad którymi się nie zastanawiamy. Spróbujmy jednak bliżej się przyjrzeć temu zagadnieniu i trudnościom, które się uwidaczniają.

Z perspektywy praw człowieka jedno z pytań brzmi: czy można dyskryminować tych, którzy dyskryminują? Czy można wobec nich stosować tę formę przemocy? Deklaracje prawno-człowiecze (Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, Europejska Konwencja Praw Człowieka)

zawierają ograniczenia w możliwości głoszenia i manifestowania swoich przekonań (zresztą jak praktykowania kultu religijnego). Dotyczą one interesu publicznego, ochrony porządku publicznego, zdrowia i moralności, a także ochrony praw i wolności innych osób. Odsyłają one do ustaw i porządku prawnego danego państwa, które muszą być zgodne z przyjętymi przez nie deklaracjami. Jednocześnie to głównie państwa-sygnatariusze stoją na straży przestrzegania niedyskryminacyjnych praktyk. Nie może to dziwić, bowiem jedyną instytucją mogącą legalnie stosować przemoc jest właśnie państwo.

W demokracjach o treści zapisów prawnych decydują obywatele uwzględniający istniejące przepisy i zobowiązania międzynarodowe, kontrolo-

regulacyjne) oraz poprzez bliskość z obywatelami (organy rzecznicze) – uzupełnieniem tradycyjnej legitymizacji demokratycznej i systemu *checks and balances*. Punktem nie jest proceduralny podział, lecz ten wynikający z nastawienia na różne wartości poszczególnych instytucji, wartości, których ścieranie ma podnosić jakość demokracji. Jest więc wyrazem pluralizmu, choć innego niż klasyczny trójpodział czy wiara w ucieranie się stanowisk w debacie parlamentarnej. Nie zastępuje ich, lecz nakłada się na niego. To refleksyjności, z pomocą bezstronności i bliskości, przypada rozstrzygnięcie w przypadku praw człowieka.

Czy natomiast obywatele mogą dyskryminować, choćby w postaci napiętnowania grup, które dopuszczają się dyskryminacji? Czy mogą

jest razem z dyskryminacją ze względu na wyznanie, a przecież często wchodzi one ze sobą w konflikt. Religia może np. opisywać ważne ze względu na światopogląd danej osoby czy grupy sprawy związane z orientacją seksualną czy tożsamością płciową w sposób dyskryminujący, onieśmielający, upokarzający, poniżający czy uwłaczający. Z tego powodu taka religia czy światopogląd z niej wynikający są nie do pogodzenia. W takich przypadkach na ogół rozpatruje się konkretną sytuację pod kątem racjonalnego uzasadnienia postępowania celem zgodnym z prawem, a środki służące realizacji tego celu – czy są właściwe i konieczne. Ale czy państwo może rozstrzygać, które z elementów światopoglądu religijnego są niezbędne np. do zbawienia? Dbanie o to nie jest zresztą rolą państwa i z jego perspektywy nie da się tego racjonalnie uzasadnić. Tak więc świecki światopogląd ma pierwszeństwo przed jakimkolwiek religijnym, co z perspektywy przynajmniej niektórych religii czy jej wyznań jest herezją i tylko wyrozumiałość ze strony przywódców religijnych i wierzących oraz niechęć do rozstrzygającej konfrontacji pozwala na uznanie takiego stanu rzeczy.

To potwierdza niemożność jednoznacznego rozstrzygnięcia kwestii niedyskryminacji na polu praw człowieka, nie tyle nie mogąc stwierdzić, czy ma się z nią do czynienia czy nie, co uznając ją za dopuszczalną w pewnych sytuacjach. Zmusza jednocześnie do szukania *modus vivendi* w spluralizowanym społeczeństwie. Ten może

być wynikiem jakiegoś stanu zawieszenia, klinicy, bezradności lub wiązać się z takimi cechami jak wielkoduszność czy tolerancja lub miłosierdzie, które ostatecznie opierają się na uznaniu postępowania, przekonań za złe, niepożądane, a mimo to zostawieniu ich w spokoju. Każda strona ma jakąś koncepcję odpowiadającą tej idei wyrażaną w swoim języku.

Rewolucja praw człowieka

Inny ujawniający się problem z prawami człowieka bierze się z faktu, że same prawa człowieka są elementem światopoglądu, nawet jeśli postrzegane są jako uniwersalne, niezbywalne, niepodzielne, wzajemnie powiązane, a może nawet i odwieczne. A przecież mają one swoją historię, wcale nie taką długą. Przypominają o tym choćby kolejne generacje praw, a także ich interpretacje, jak chociażby niedawna dyskusja o prawie do aborcji – z jednej strony przyzwolenie na nią w określonych warunkach, z drugiej pełna jej depenalizacja. Te zmiany stawiają fundamentalne pytanie o to, czy prawa człowieka są odkrywane czy ustanowione, czy są wynikiem oświecenia, choćby stopniowego, czy tworzone przez ludzi w danym czasie i kontekście kulturowym. Pierwsze z alternatyw sugerują niezbędny misyjny charakter i poprzez niego wchodzenie w sferę polityczności – agonistycznego starcia wartości z opornymi na nawrócenie barbarzyńcami, przeszkadzającym w urzeczywistnieniu dobrze funkcjonującego globalnego społeczeństwa demokratycznego i liberalnego.

Z perspektywy praw człowieka jedno z pytań brzmi: czy można dyskryminować tych, którzy dyskryminują? Czy można wobec nich stosować tę formę przemocy?

wani przez sędziów zasiadających w trybunałach konstytucyjnych lub instytucji pełniących podobną funkcję. Ten ostatni element, jak przedstawił to francuski badacz demokracji Pierre Rosanvallon, jest korektą wobec legitymizacji władzy opartej jedynie na woli powszechnej wyrażanej w wyborach. Opiera się on na legitymizacji poprzez refleksyjność będącej – obok legitymizacji poprzez bezstronność (instytucje nadzorcze i agencje

powoływać się na prawa człowieka przed wyrokami i orzeczeniami sądów lub wynikającymi z nich zmianami w ustawach? Czy w tym procesie obywatele skazani są tylko na decyzje sędziów, w przypadku państw europejskich także z Europejskiego Trybunału Praw Człowieka?

Dyskryminacja ze względu na poglądy polityczne jest najślabiej opisana. Na ogół wymieniana

Misjonarze o możliwych sprzecznościach wolą nie myśleć, by nie niszczyć idealnego obrazu świata, który może nadejść. W przypadku kolejnych alternatyw agonalny charakter jest widoczny od razu. To my jako ludzie chcemy dążyć do lepszego świata, wybieramy prawa człowieka, nawet ze swymi sprzecznościami, bowiem

prowadzą one do polepszenia losu ludzi, budowania bardziej demokratycznych i liberalnych społeczeństw, uznawania za lepsze od ich innych form. Przyjmuje się, że nie każdy musi mieć więc nabożne podejście do praw człowieka. Same zresztą zakładają możliwość niejednoznacznego stosunku do siebie, jak chociażby we

wspomnianym przypadku religii, orientacji seksualnej oraz tożsamości płciowej – opowiadać się za nimi i być z nimi w niezgodzie. Choć prawa człowieka można zadekretować, to będzie dochodzić do kolizji między wartościami w nich zapisanymi.

Sprzeczności wyraźnie widać w społeczeństwach znajdujących się dopiero na drodze do praw człowieka. Czy mieć podejście misyjne czy jednak zgodne ze społecznym ich ustanowieniem? Okrojować je czy wspierać oddzielną drogę danej społeczności i kultury do nich? W takich przypadkach wszystkie napięcia uwiadczniają się wyraźniej, ponieważ nie wszystkie wartości i tradycje prawno-człowiecze są podzielane przez lokalną wspólnotę, a część dotychczasowych tradycyjnych elementów danej kultury – ważnych, wyznawanych przez grupy religijne czy światopoglądowe – wchodzi z nimi

z zewnątrz. To spotkanie dwóch światów i jak przy każdym spotkaniu z Innym, jeśli ma być ono dokonane, a nie tylko odbyte, dochodzi do zniszczenia znanego dotychczas świata. W realnym spotkaniu z autentyczną różnicą drzemie jakiś pierwiastek przemocy mogący albo przejawiać się zdominowaniem jednej strony, albo uruchamiający reakcję jądrową, odciskającą ślad na obu partnerach. Jeśli coś może budzić strach czy lęk przed spotkaniem z Obcym, to właśnie obawa przed destrukcją świata, jaki się zna, dotychczasowych przeświadczeń, może nawet wartości, zobaczenie w nim człowieka. Używając sformułowania z innej dziedziny, w dokonanym spotkaniu tkwi twórcza destrukcja.

Wprowadzanie praw człowieka jest rodzajem rewolucji, taką jaką była rewolucja chrześcijańska w Rzymie czy rewolucja francuska. U podstaw tej starożytnej leżało upowszechnienie nowe-

Choć prawa człowieka można zadekretować, to będzie dochodzić do kolizji między wartościami w nich zapisanymi

w konflikt. I choć dla osób zakorzenionych w kulturze praw człowieka, będącej częścią ich silnej tożsamości – czy jak sami by woleli, cech niezbywalnych – pewne pryncypia są oczywiste, to dla innych przyjęcie ich jest rewolucją, dodatkowo postrzeganą często jako przychodząca

go rozumienia człowieka – jego godności i uniwersalności. Dla nowożytnej fundamentem stała Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela. Obie zaczynały się od głoszenia dobrej nowiny. Ich bronią było słowo, również piętnujące postępowania i ludzi, przeciwko którym się opowiadały.



Photo by Christian Lie on Unsplash

Gdy ono wyczerpywało swoje możliwości, natrafiało na opór, niezgodę czy niechęć do przyjęcia, obie uciekały się do bardziej jawnej przemocy. Rozpowszechnianie idei praw człowieka w Europie naznaczone było krwią i cierpieniem w słusznej sprawie. Jak zauważył Norberto Bobbio, włoski filozof polityki, działacz ruchu antyfaszystowskiego, widzący na własne oczy najpierw przemoc faszystów, a w latach 70. XX w. Czerwonych Brygad, grupy rewolucyjne zawsze znajdują uzasadnienie dla stosowania słusznej przemocy jako uzasadnioną odpowiedź na przemoc przeciwnika. W końcu chrystianizacja innowierców mogła odbywać się mieczem, a przemoc w latach 90. XVIII w. we Francji stała się legendarna, zyskując nawet miano rewolucyjnej. Nawet terroryści swoje oburzające działania wywodzą

przemocy, postawiły osoby działające na ich rzecz w niełatwej sytuacji. Na upowszechnianie idei bezprzemocowego życia nałożone zostały ograniczenia z wynikające wartości prawnoczułowieczych – co z perspektywy liberalnych wartości leżących przeciwieństwo u ich podstaw jest ważnym i uznawanym za skuteczny sposób sprawowania władzy. Jednocześnie na stojących w ich obronie sędziów i działających w ich oparciu przyznano prerogatywę określania kiedy przemoc, jak chociażby dyskryminacja, jest celowa i uzasadniona. To potężna władza. Przypomina tę znaną z prawa międzynarodowego, gdy przychodzi do określenia, czy ma się do czynienia z ruchem narodowotwórczym czy nielegalnymi buntownikami, z *hostis* czy *rebellites*. To przecież determinuje ich międzyna-

rodowo-prawne umocowanie, związane m.in. z tym, czy stosowana przez nich przemoc jest uzasadniona. Albo jak w przypadku działań zbrojnych, czy są podstawy do karania państwa czy też nie. Zajmujący się wojnami sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi, Michael Walzer podaje w tym kontekście przykład agresji rosyjskiej na Ukrainę i marsz wojsk Amerykańskich na

Niszczycielska natura

Przemoc jest nieodzownym elementem kondycji ludzkiej. Napawa nas jednak obawą i lękiem, czyniąc nasze życie nieznośnym. To właśnie sprawia, że gotowi jesteśmy zrezygnować z części wolności. Takie rozumowanie popchnęło Hobbesa do uznania, że z potrzeby bezpieczeństwa rodzi się zgoda na ustanowienie i poddanie się władzy zwierzchniej mogącej je zapewnić. Angielski filozof formułował swoją koncepcję na kanwie doświadczeń okrutnej i wyniszczającej wojny domowej – pierwszej nowożytnej rewolucji. Opowiadał się za władzą absolutną, która jego zdaniem jako jedyna może gwarantować pokój i wolność obywateli. Ta była dla niego taka sama niezależnie od ustroju. Sprzeciwiał się jednak demokracji, republikanizmowi i parlamentaryzmowi głoszonym w tamtych czasach przez dziś praktycznie zapomnianych takich myślicieli jak James Harrington, John Milton, Algernon Sidney czy Marchamont

Nedham, widząc w nich źródło niekończących się rozruchów i przemocy. Tej, zdaniem Hobbesa, może zapobiec tylko większa od niej moc – państwo rządzone przez niepodzielną władzę monarchy, instancję nadrzędną, z którą się nie dyskutuje i przyjmuje jej rozstrzygnięcia bez gadania, ponieważ stanowi legalną formę przymusu.

Nic więc dziwnego, że właśnie w tamtym okresie uznano wojny domowe za niesprawiedliwe z założenia, działania całkowicie bezprawne, a buntowników, rebeliantów i zdrajców za wyjętych spod prawa. Natomiast wojny międzypaństwowe uznano za sprawiedliwe ze względu na brak siły zwierzchniej, równość nie tylko walczących podmiotów – którym nie chodziło o zagładę wroga – ale także neutralnych państw trzecich. To wszystko sprawiało, że wojna była ograniczona. Często zresztą *casus belli* miały podłoże dynastyczne, jednak to nie kwestie winy moralnej, prawnej czy teologicznej (jak dotychczas) decydowały o sprawiedliwości wojny, czyniąc ją totalną i ekstremistyczną, lecz kwestia formy, przypominającej pojedynek dwóch osób z obowiązującymi je regułami.

Z czasem postać państw europejskich ulegała zmianie. Przekształciły się formy rządów, pojawiły się nowe prawa i instytucje, ewoluował stosunek do wolności, tak wśród obywateli, jak i rządzących. Wnikliwie opisali te procesy różni badacze, jak Michael Oakeshott, Michel Foucault, Carl

Przemoc jest nieodzownym elementem kondycji ludzkiej. Napawa nas jednak obawą i lękiem, czyniąc nasze życie nieznośnym. To właśnie sprawia, że gotowi jesteśmy zrezygnować z części wolności

z nakazów moralności, dzięki czemu mogą zdobywać, nawet jeśli nie członków, to przynajmniej sprzymierzeńców. Tylko dla bandyckiej przemocy, ostatecznie wynikającej z egoistycznych celów bandyty, nie sposób znaleźć wytłumaczenia.

Po II wojnie światowej prawa człowieka, wyrażając się stosowania szerokiego wachlarza

rodowo-prawne umocowanie, związane m.in. z tym, czy stosowana przez nich przemoc jest uzasadniona. Albo jak w przypadku działań zbrojnych, czy są podstawy do karania państwa czy też nie. Zajmujący się wojnami sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi, Michael Walzer podaje w tym kontekście przykład agresji rosyjskiej na Ukrainę i marsz wojsk Amerykańskich na

Schmitt czy Reinhart Koselleck. Zmieniał się stosunek do przemocy stosowanej przez państwo, między państwami, a także między obywatelami. Nie odbywało się to liniowo, stale i w sposób nieodwracalny. Dążenia do władzy dyskretnej i dyscyplinowania, chęć ustanowienia trwałego pokoju między państwami, wyeliminowania wojny przerywały erupcje strasznego i niepojętego okrucieństwa, powroty wojen totalnych.

Od stuleci trwa walka o to, by przemoc była jak najmniej dotkliwa i jak najrzadziej stosowana. Zastrzeżenie o jej użyciu w wyłącznie słusznym celu może być zwodnicze, bo historia pokazała, że mogą one znaczyć w różnych czasach i dla różnych ludzi co innego i to, co miało przynieść pomyślność ludzi, wcale się do niej nie przyczyniało. Idee mające sprzyjać w jej zaplanowaniu – potępienie ignorancji, okrucieństwa, niesprawiedliwości, opowiadanie się za szlachetnością prostoty dusz, a przeciw cywilizacji, powoływanie się na wolę powszechną, udział w misji wspólnotowej narodu czy tworzenia bezkonfliktowego społeczeństwa – przyczyniały się do jej zaprzeczenia.

Używanie przemocy w walce o wolność również wydaje się problematyczne, po pierwsze ze względu na to, że w różnych tradycjach politycznych oznacza ona co innego. Dla Marksa i wczesnych socjalistów miała inne znaczenie niż dla Constanta, J.S. Milla czy Spencera, konserwatyści z ducha burkowskiego wydobywali jej inne

elementy, zaś republikanie od Tocqueville'a po Arendt widzieli ją odmiennie. A przecież byli również tacy, którzy głosili poglądy wyraźnie wolności się sprzeciwiające, z de Maistrem na czele, już po pierwszej krystalizacji praw człowieka. Do tego przecież kultury odmienne od Zachodniej mają swoje postrzeganie spraw, swój język opisu świata. Zresztą spór o ostateczne rozumienie wolności jest sporem agonialnym, tzn. jest kwestią wyboru, a nawet wyborów w poszczególnych sytuacjach, bo przyglądając się poszczególnym obszarom prawa czy nawet przepisom można zobaczyć, że czerpią z różnych tradycji. „Systemy prawne stanowią mozaikę stworzoną z odpowiedzi na wyzwania danych czasów i świadomości ludzi w nich żyjących, są wynikiem decyzji, ale nie owocem spójnego zamysłu, jak o postaci nowożytnych państw europejskich”, powiedział Oakeshott.

Polityka, w znanej dziś postaci, jest obszarem, w którym pewne formy dyskryminacji i przemocy, w żadnym wypadku jednak fizycznej i brutalnej, są racjonalnie uzasadnione z punktu widzenia osiągania celu. Choć nie w oczach tych, którzy widzą możliwość zaistnienia jednorodnego świata, w którym radośnie będą współistnieć tylko światy wartości dające się pogodzić, a każdy, kto nie jest ignorantem, odrzuca zabobony, nie wykazuje złej woli, wyzbywa się uprzedzeń i nie daje się porwać lenistwu, może to pojąć i przyczynić się do stworzenia takiej rzeczywistości, czyli racjonalistów wszelkiej

maści czy osób wierzących w iluzję neutralności. Niemożność ustanowienia takiego świata bierze się z występowania niewspółmiernych wartości niedających się ze sobą harmonijnie połączyć. Zmuszeni więc jesteśmy w pewnych sytuacjach między nimi wybierać, czasami przeprowadzając wcześniej wokół nich dyskusję, próbować

przekonywać, jednak ze względu na niewspółmierność, brak wspólnej płaszczyzny, do której można by się odwołać – jak widzieliśmy, nawet prawa człowieka nie spełniają takiej funkcji – nie pozostaje nic innego, jak jakieś formy przemocy. Najłagodniejsza z form to onieśmielenie członków grupy tak, by zostawili w spokoju to,



co uznają za złe. W innych przypadkach może się to odbywać poprzez decyzję większości, mniejszości lub instytucji państwa czy uderzenie w oponenta obśmiewając, wyszydzając, odbierając mu rozumność. Dobrze, gdy odbywa się to w możliwie jak najmniej szkodliwy sposób.

W takich przypadkach nie tyle przemoc może przerażać, co poklask i rechot, który za nią idzie. Uznanie jej za smutną konieczność – wydaje się – byłoby bardziej na miejscu. Absurdem byłoby zrównywać każdy przejaw przemocy, lecz również uznać, że pewne z nich nią nie są. Z tego powodu w tradycji liberalnej panowała olbrzymia niechęć do arbitralności i decyzyzmu,

Przy omawianiu poglądów Hobbesa wspomnieliśmy, że przemoc jest wpisana w kondycję ludzką. Nie tylko jej doświadczamy, ale również sięgamy po nią. Zygmunta Freud mówił, że w człowieku, obok popędu miłości – *erosa*, tkwi popęd niszczycielski. Żadnego z nich nie da się pozbyć, równoważą się w człowieku. Można co najwyżej je jakoś kanalizować, zarządzać nimi. Kultura – tak, jak ją dana osoba postrzega i jak się ona jej narzuca (*superego*), dziś z pewnością naznaczona prawami człowieka – z jednej strony stara się powstrzymać siłę niszczycielską, z drugiej tworzy obszary, w których można ją zaspokajać. Ponieważ zdaniem wiedeńskiego psychologa człowiek nie jest istotą łagodną i godną

sposób agresywnych skłonności. Ich negatywnym przykładem mogą być dyskryminacja i hejt osób czy grup, również w przypadku dyskryminacji dyskryminujących czy hejtu wobec hejterów. W końcu przemoc postrzegana jako czyniona w słusznej sprawie łączy w sobie dwa popędy – miłości innych i destrukcji. To zawsze największa pokusa.

Agon i pluralizm

Nie przypadkowo Freuda w swoich rozważaniach o polityczności przywoływała Chantal Mouffe. Rywalizacja polityczna i starcie wartości niesie w sobie nie tylko patos tworzenia lepszego świata, ale odpowiada również ludzkim namiętnościom. Gdy ścierają się ze sobą różne światopoglądy, czasami wynikające z narcyzmu małych różnic, innym razem fundamentalnej niezgodności aksjologicznej, nie pozostaje nic innego jak arbitralne rozstrzygnięcia, zwycięstwo jednych, porażka drugich. Nic więc dziwnego, że zwolenniczka demokracji agonicznej krytykuje i odrzuca dwa podejścia, które zrobiły furorę w świecie liberalnym, a jej zdaniem są iluzją, zaciemniają obraz tego, co polityczne, prowadząc do uwięźnięcia demokracji, a także do alienacji obywateli i ich indywidualizacji.

Pierwsze z nich wiąże się racjonalnością instrumentalną opartej jedynie na formalnych procedurach i instytucjach, których celem jest rozwiązanie wszelkich problemów. Jest to podejście technokratyczne, w dużej mierze rezygnujące

z ocen moralnych innych niż zgodność proceduralna. W polityce najważniejszą procedurą jest kompromis, do którego mogą dojść rywalizujące ze sobą strony, posiadające swoje interesy. Bardziej niż na forum obywateli, a w zasadzie w ich imieniu eksperci, spotykają się na targu, na którym ubijają interesy. Miarą sukcesu jest ich skuteczność. Drugie podejście opiera się na deliberacji skupionej wokół wartości i nastawionej na dobro wspólne. Chodzi o dojście do takiego stanu, w którym ład jest uzgadniany przez polityków i liderów opinii w oparciu o zasady moralne i etyczne praktyki. Choć w założeniu deliberacja miała też włączyć obywateli w proces decyzyjny, to często ich wyklucza, faworyzując co najwyżej niektórych z nich.

Z perspektywy Mouffe istotą demokracji jest realny spór, a nie próby ugładzania wszystkiego. Z tego powodu opowiada się za przywróceniem polityczności życia publicznego, w którym ścierają się wrogie, bowiem nie mogące się pogodzić wizje świata i porządków politycznych. Dla belgijskiej filozofki polityki powinny być nimi światopogląd lewicowy i prawicowy. Podział dychotomiczny ma ułatwiać sprawę. Opowiedzenie się za jednym lub drugim rozwiązaniem nie powinno sprawiać problemu. Taka prostota nie czyni jednak decyzji łatwiejszą dla obywateli. Może się zgodzić w jednej kwestii, a być przeciwny w drugiej. Zmusza do wyboru w obrębie własnego systemu wartości, stworzenie w jego ramach hierarchii, przynajmniej

Polityka, w znanej dziś postaci, jest obszarem, w którym pewne formy dyskryminacji i przemocy, w żadnym wypadku jednak fizycznej i brutalnej, są racjonalnie uzasadnione z punktu widzenia osiągnięcia celu

często uciekanie od nich w stronę racjonalizmu i odpolitycznienia, uznawanie, że tylko na ich gruncie da się stworzyć i obronić liberalne społeczeństwo. Niestusznie z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że zaklinalenie rzeczywistości nie sprawi, że jej charakter zniknie czy się zmieni. Po drugie, czyniło to ich nieprzygotowanymi do konfrontowania się z tym, co noc szepce za oknami i postrzeganie siebie jako niestusznie gnębionych, niczym Milusińscy Brzozowskiego.

miłości, musi dać również upust swojej agresji. Może dawać temu wyraz w sposób łagodny lub niszczycielski. Freud wspominał np. zjawisko, które określał mianem narcyzmu małych różnic, przejawiające się zwalczaniem i wyszydzaniem grup bliskich sobie, podobnych. W dzisiejszej kulturze rywalizacja sportowa – zarówno, gdy samemu staje się do walki, jak przy kibicowaniu – może być postrzegana właśnie przez pryzmat rozładowywania w bezpieczny i akceptowany

w danym czasie. Nie musi to więc wcale oznaczać włączenia obywateli w życie polityczne, ponieważ mogą się w tym sporze nie odnajdować. To zagubienie może pojawić się nawet, gdy nie będzie się odwoływać wyłącznie, a nawet przede wszystkim do rozumu racjonalnego, a do rozumu namiętnego, do czego zresztą Mouffe namawia. W tej wizji obywatele są jak widzowie antycznych przedstawień teatralnych podczas świąt ku czci bogów, w których z jednej strony przysłuchują się racjom bohaterów dramatów i ważą ich niewspółmierność, z drugiej oceniają dzieła dramaturgów.

Zarysowana perspektywa polityczności, w której rozróżnia się swojego i obcego, będących odpowiednio przyjacielem i wrogiem, jest minima-

się jednocześnie inną. Nie można mieć wszystkiego, nie jest możliwe stworzenie idealnego społeczeństwa. Jedyne na co możemy liczyć, to znośne *modus vivendi*, które można osiągnąć także dzięki dążeniu przez niektórych ludzi i grupy do swoich ideałów, choć nie nadgorliwe i nie nazbyt pośpieszne, lecz tolerancja lub miłosierdzie wśród przeciwników są dość znaczne.

Daleko od i do jedności

Mouffe jeszcze w inny sposób przyczynia się do poszerzenia znaczenia pluralizmu w demokracji, ale w sposób niezamierzony. Wyróżniając trzy spojrzenia na demokrację: agonalne, racjonalistyczno-proceduralne i deliberatywne pokazuje, że każde z tych podejść, posiadające swoje wady z perspektywy obywateli, może występo-

Jedyne na co możemy liczyć, to znośne *modus vivendi*, które można osiągnąć także dzięki dążeniu przez niektórych ludzi i grupy do swoich ideałów, choć nie nadgorliwe i nie nazbyt pośpieszne, lecz tolerancja lub miłosierdzie wśród przeciwników są dość znaczne

listyczną wersją pluralizmu. Ten zakłada bowiem nie samą różnicę w wartościach podzielanych przez grupy i ludzi, lecz ich niewspółmierność, niemożność pogodzenia ich. Jeden z najbardziej zadeklarowanych pluralistów, Isaiah Berlin dodawał, że decydując się spośród wzniesionych i pozytywnych wartości wybrać jedną, poświęca

wać i odnosić pewne sukcesy. Najważniejsze wydaje się nie fetyszowanie żadnego z nich oraz dostrzeganie ich ograniczenia. Nie w każdej sytuacji tak samo mogą się nadać, w pewnym momencie mogą natrafić na mur nie do przebicia. Mogą również występować razem, a procesy w ramach każdego z nich toczyć się



jednocześnie. Michael Walzer analizując demokrację deliberatywną – jak ją określa, amerykańską odmianę działania komunikacyjnego Habermasa, będącą przejściem z dyskursu praw na dyskurs decyzji – zauważa, że są również inne aktywności niezbędne w demokratycznej polityce nie oparte na rozumowym ustalaniu decyzji w procesie racjonalnej dyskusji między równymi partnerami, kierujące się dostępnymi

danymi i dostrzeganymi możliwymi rozwiązaniami uwzględniającymi różne wartości, określającymi ich znaczenie i wagę dla danej kwestii.

Do działań opartych na innych wartościach niż tak pojmowana rozumność, a wywodzących się z namiętności, zaangażowania, solidarności, odwagi czy konkurencyjności Walzer zalicza: (1) edukację polityczną opartą na agitacji i propagandzie,

a w rodzinie połączoną z miłością, (2) przynależność do organizacji wymagającą zdyscyplinowania, (3) mobilizację poprzez inspirowanie, prowokowanie, przeobrażenie – przynajmniej na czas kampanii – członków w bojowników, (4) demonstrację swojego zaangażowania, (5) wystosowywanie oświadczeń w określonych sprawach, niekoniecznie zawierających argumenty, (6) debaty nie nastawione na porozumienie, lecz zwycięstwo w pojedynku, nawet kosztem dyskredytowania oponentów, (7) negocjacje nakierowane na kompromis odzwierciedlający równowagę sił, (8) lobbing oparty na ustanawianiu bliskich znajomości i dojściami do decydentów,

Michale Walzer jest reprezentantem pluralizmu, choć podchodzi do niego w odmienny sposób niż Berlin czy Mouffe. Broni go i równości, wydzielając sfery kierujące się odmiennymi logikami sprawiedliwości. Patrzy na każde społeczeństwo jako na wspólnotę dystrybucyjną. Wszystko co jednostka posiada, zawdzięcza innym, niezależnie czy słusznie, czy niesłusznie, sprawiedliwie czy niesprawiedliwie. Dobra, które trafiają do człowieka, pochodzą z różnych porządków i mechanizmów ich dystrybucji. Nikt nie sprawuje nad nimi wszystkimi kontroli, w żadnej wspólnocie nie są one rozdysponowywane według jednego klucza, np. rynkowego, ani jednego kryterium czy zespo-

o położeniu społecznym swoim i innych członków wspólnoty. Przekonuje natomiast, że zasady sprawiedliwości są pluralistyczne, a różne dobra należy rozdzielać według różnych racji i procedur, pamiętając, że różnice wywodzą się z odmiennego pojmowania dóbr społecznych, będących wynikiem historycznych i kulturowych partykularyzmów. To właśnie jest podstawą równości złożonej wymagającej obrony granic określonych obszarów wyodrębniających sfery dystrybucyjne w danej wspólnocie politycznej. Tak więc innymi kryteriami członkowie wspólnoty kierują się przy

W nowożytności jego najbardziej rozwinięty wyraz przejawiał się w romantyzmie – tym buncie przeciwko wizji i mitowi jednego idealnego świata, jak określał tę formację intelektualną Berlin. W świecie, w którym pozycja religii została zachwiana, pojawiło się poszukiwanie wypełnienia pustego miejsca po niej. Zwrócono wzrok na poezję mogącą pełnić podobną funkcję. Jednak nie może być ona monoteistyczna, bo nie posiada jednego boga, może natomiast przypominać świecki politeizm. Poeci wychwalają i proponują różne ideały. Romantyzm uilitytary-

Z perspektywy psychologii czy zarządzania istotne jest prawidłowe określenie swojego typu, pozwalające lepiej siebie zrozumieć, ale także mające pomagać w funkcjonowaniu z innymi osobami

Nie mogąc określić hierarchii ludzkich wartości i potrzeb potykających się nieustannie o siebie, a także wykorzystywanych jednych przeciw drugim czy w samozwańczym szale, uznając swoje za lepsze od innych, można było zwrócić się tylko ku psychologicznym podstawom, uznając szczęście człowieka za najwyższy cel

(9) kampanie wyborcze służące przedstawieniu kandydatów, a nie deliberacji, (10) głosowanie, w którym obywatele podejmują decyzje w oparciu o swoje zainteresowania, pasje i sympatie, (11) tworzenie więzi z darczyńcami poprzez zbieranie funduszy, (12) wykonywanie czarnej roboty, (13) przyjemność płynąca z rządzenia.

tu wzajemnie połączonych kryteriów. Nie należy nawet oczekiwać, że tak kiedyś będzie, ani że tak powinno być. Filozof sprzeciwia się – tak popularnej przed pół wiekiem – wizji jedynego sprawiedliwego systemu dystrybucji zakładającego, że wybraliby go idealnie racjonalni ludzie, kierujący się bezstronnością wynikającą z niewiedzy

rozdysponowaniu dóbr i jego osądzaniu w przypadku spraw związanych z bezpieczeństwem, władzą, rynkiem, pracą, wykształceniem, relacjami pokrewieństwa i miłością, religią czy uznaniem. Próby objęcia ich wszystkich jakąś jedną zasadą czy doktryną odrywają od rzeczywistości. Nie oznacza to jednak, że w ramach każdego obszaru nie odbywa się spór o właściwe, sprawiedliwe racje, którymi powinno się w ich obrębie kierować przy redystrybucji.

Jeszcze w inny sposób ugryzł pluralizm Richard Rorty, traktując go jako swoisty politeizm.

styczny podkreślał, że mogą one być sprzeczne z sobą, lecz przedstawiać tak samo wartościowe formy życia.

Ten wątek podjął amerykański filozof-pragmatysta William James. W *Doświadczeniu religijnym* twierdzi, że błędem byłoby uznanie za ideał jednej właściwości, lecz należy uznać większą ich grupę, które różni ludzie uznają za godne szczenia. Co więcej, jego zdaniem – jak wcześniej Humboldta czy J.S. Milla – celem instytucji społecznych jest właśnie rozwój ludzkości w całym jej zróżnicowaniu. Rorty nazywa Jamesa



politeistą – jak każdego, kto uważa, że nie ma jednego kryterium wiedzy pozwalającego porównywać i hierarchizować wszystkie ludzkie wartości i potrzeby, oraz którzy zrezygnował z poszukiwania sposobu powiązania wszystkiego i odnalezienia formuły mówiącej wszystkim, jak mają żyć i według jakich miar.

W ten sposób romantyzm wykroczył poza tolerancję religijną, otwierając drzwi tolerancji moralnej. Nie mogąc określić hierarchii ludzkich wartości i potrzeb dotyczących się nieustannie o siebie, a także wykorzystywanych jednych przeciw drugim czy w samozwańczym szale, uznając swoje za lepsze od innych, można było zwrócić się tylko ku psychologicznym podstawom, uznając szczęście człowieka za najwyższy cel. Chodziło o to, by zapewnić wszystkim równe warunki, pozwalające na zmierzanie do niego i doskonalenie się, nie przeszkadzając w tym innym. To zdaniem Rorty'ego prowadzi do zastąpienia prawdy przez politykę demokratyczną, pierwszeństwa demokracji przed filozofią. Jednak amerykański filozof pominął fakt, że demokracja opiera się na pewnych filozoficznych przesłankach, o których nie można zapominać. Nie określają one jak dokładnie jest, ale mówią, czego nie wolno, czy też jakie problemy się pojawiają w demokratycznej wspólnotce. Nie rozstrzyga ich jednak, ani nie poucza, nie może pomóc w wyborze spośród różnych ścieżek, które człowiek ma do wyboru – ścieżek do szczęścia, a nie prawdy, jak dodałby amerykański filozof.

Krytykując Jamesa za rozróżnienie spraw rozstrzyganych za pomocą intelektu od tych, w których rozstrzyganiu decydują uczucia, Rorty sugeruje, że bardziej pożytecznym byłoby wprowadzenie przez niego przeciwstawienia spraw, których rozwiązanie wymaga współpracy z innymi – godzenia nawyków i skłonności różnych osób – i spraw które można rozwiązać samemu, zmierzając do wytworzenia obrazu samego siebie. Zdaniem Rorty'ego nie wymagają one spójności, są to bowiem całkiem oddzielne sfery życia, mogące współistnieć w człowieku, jak dawniej patrzono na dualizm intelektu i uczucia. Są wyrazem pluralizmu tkwiącego w człowieku, bliskiego Hobbesowskiemu rozróżnieniu na wewnętrzną wiarę i zewnętrzne wyznanie, działanie publiczne i prywatne sumienie, postępowanie i przekonania, kwestie podjęte i rozwinięte przez Spinozę. Jak pokazał Carl Schmitt, wprowadzenie takiego rozróżnienia prowadzi w konsekwencji do uznania wyższości sfery prywatnej nad publiczną. Losy mieszczaństwa opisane przez jego ucznia, Reinharda Kosellecka miały o tym świadczyć.

Różnice osobowości

Wcześniejszym od Rorty'ego krytykiem Williama Jamesa był Carl Jung. Szwajcarski psychiatra nie zgadzał się z amerykańskim filozofem w kwestii przedstawienia przez niego różnych typów osobowości ludzi. James zaczynał od zajmowania się psychologią. W jego rodzinie było to chyba popularne, ponieważ jego brat, powieściopisarz

Henry James, zasłynął z tworzenia trafiających do czytelników portretów psychologicznych bohaterów swoich opowiadań i powieści. Później jednak William przeczucił się na spawy związane z religią i tworzył podstawy filozofii pragmatycznej.

Jung był współpracownikiem Freuda, który w pewnym momencie odciął się od niego, uznając, że zbyt dużo uwagi poświęca seksualności, jest na niej wręcz zafiksowany. Zainteresowała go jednak odmienność w sposobie myślenia między nim a wiedeńskim psychologiem oraz jego uczniem, Adolfem Adlerem. W koncepcji Jamesa nie znajdował odpowiedzi. Postanowił więc

i funkcjonowania zespołów. W tym celu powstały testy osobowości. Z perspektywy psychologii czy zarządzania istotne jest prawidłowe określenie swojego typu, pozwalające lepiej siebie zrozumieć, ale także mające pomagać w funkcjonowaniu z innymi osobami. Z perspektywy filozofii politycznej, którą się tu zajmujemy, skupienie na właściwym rozpoznaniu jednostek nie jest potrzebne. Chodzi o rozpoznanie psychologicznych czynników wpływających na polityczne działania.

Na ogół w sprawach publicznych skupiamy się na różnicach wynikających z przynależności grupowych, światopoglądów i wartości. Do tej pory

Psychologia jest dziś niemal wszechobecna, przenika wszystkie dziedziny – od terapii przez marketing i rozrywkę po politykę. Stała się częścią superego jak powiedziałby Freud, a więc stanowi część życia codziennego człowieka, zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego

stworzyć własną klasyfikację. Podzielił ludzi na osoby introwertyczne i ekstrawertyczne, a w obrębie tych grup wyróżnił typy myślenia i uczuciowe. Z czasem zaczęła powstawać z tego cała szkoła, która zwłaszcza po II wojnie światowej ewoluowała w różne strony. Zainteresował się nią również biznes, chcący wykorzystać zdobycze psychologii do zwiększenia produktywności

tak też był tu przedstawiany pluralizm. Dopiero nie tak dawno, za sprawą afery z Cambridge Analytica wyraźniej zarysowała się kwestia typów osobowości w polityce, choć nie przebiła się ona szerzej do świadomości. Psychografia miała służyć do zdobywania poparcia dla konkretnych kandydatów, dobierając odpowiednio materiał do konkretnej osobowości, rozbudzając

w niej napiętności i lęki. Nie ma chyba ostatecznych dowodów na to, że właśnie model oparty na koncepcji Junga spełnił pokładane w nim nadzieje, choć zakładany efekt został osiągnięty. W przypadku tego modelu następujące czynniki wpływają na zachowanie ludzi: otwartość (chęć i gotowość na nowe doświadczenia), sumienność (preferowanie porządku i powtarzalności lub zmiany i płynności), ekstrawersja (stopień towarzyskości danej osoby), ustępliwość (skłonności do przedkładania potrzeb innych nad własne) oraz neurotyczność (skłonności do niepokoju). Każdy posiada różny ich stopień, co przekłada się na wybory i postępowanie w życiu prywatnym, zawodowym oraz politycznym.

Druga szkoła wywodząca się z jungowskiej klasyfikacji jest bardziej syntetyczna. Określa ona czynniki wpływające na odbieranie i postrzeganie świata, podejmowanie decyzji oraz sposób komunikacji. Są więc one kluczowe również w sferze politycznej, choć na ogół omawiane są w kontekście życia uczuciowego, rodzicielskiego, towarzyskiego, zawodowego, czy silnych i słabych stron. Życie polityczne pomija się ze względu na to, że typy nie wiążą się z konkretnymi treściami determinującymi politykę, przez pryzmat których patrzy się na nią.

W tym przypadku wymienia się następujące funkcje: (1) ekstrawertyczne myślenie związane z kategoriami racjonalności, metody indukcyjne oraz danych, (2) introwertyczne myślenie związane

z kategorią logiki, dedukcji i faktów, (3) ekstrawertyczne odczuwanie związane z kategorią etyki, sprawiedliwości i empatii, (4) introwertyczne odczuwanie związane z kategorią moralności i wartości, (5) ekstrawertyczna sensoryczność związana z doświadczeniem i pamięcią krótkotrwałą, (6) introwertyczna sensoryczność związana z przeżyciami i pamięcią długotrwałą, (7) ekstrawertyczna intuicja związana z zagadnieniami metafizycznymi, (8) introwertyczna intuicja związana z wolą mocy. Ekstrawertyczne kategorie dotyczą więc skupienia na tym, co zewnętrzne wobec człowieka, introwertyczne na tym, co wewnętrzne. Każda osoba może posługiwać się wszystkimi sposobami odbierania świata, komunikacji oraz podejmowania decyzji, jednak różnie wyglądają preferencje do korzystania z nich oraz obaw przed ich użyciem.

Takie podejście skłania do pluralizmu psychologicznego, czyli sytuacji, w której lęki są różnego rodzaju i biorą się z różnic między ludźmi. Odróżnia się on od monizmu psychologicznego, głoszącego, że wszyscy obawiamy się – tak po hobbesowskiemu – przede wszystkim utraty życia i przemocy ze strony innych. Niepokoje czy niepewność w zetknięciu z uczuciami własnymi lub innych osób, albo – co rzadziej się podkreśla – z własną logiką czy też zrozumieniem innych, można wyeliminować i do tego powinno się dążyć. Zarówno pluralizm, jak i monizm psychologiczny, albo jak można byłoby też na to spojrzeć, politeizm i monoteizm psychologiczny

kierują nas ku pytaniu, czy psychologia w życiu ludzi i społeczeństw przejmuje dziś miejsce zajmowane niegdyś przez religie.

Psychologia, zrodzona w XX w., w XXI w. stała się częścią kultury zachodniej, a wraz z nią globalnej. Nie jest już skryta po gabinetach. Życie psychiczne człowieka nie jest już tematem, o którym lepiej nie mówić. Psychologia jest dziś niemal wszechobecna, przenika wszystkie dziedziny – od terapii przez marketing i rozrywkę po politykę. Stała się częścią superego jak powiedziałby Freud, a więc stanowi część życia codziennego człowieka, zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego. Trafiła pod strzechy, stała się częścią mądrości ludowej. Może jest więc w historii piątą fundamentalną dziedziną dotyczącą podstawowych spraw egzystencjalnych – po religii, filozofii i mniej udanych projektach nauk o człowieku na kształt fizyki i poezji. Psychologia, podobnie jak poprzedniczki, dotyka podstaw egzystencji ludzi, próbuje odpowiadać na jej problemy, tłumaczyć je, radzić sobie z tym, co przerasta społeczeństwa czy daną osobę. Nie dziwi więc, że wszystkie wymienione wielkie egzystencjalne refleksje się przenikały, czerpały ze swoich tradycji. I, co dla tych rozważań jest szczególnie ważne, odgrywały rolę w procesie polityczności – walki o kształt świata. W każdej z nich byli też obecni kapłani i kuglarze.

Dla osób być może o mniej analitycznym umyśle Jung przedstawił również inny sposób

postrzegania osobowości i postępowania ludzi. Chodzi o obecne w kulturach archetypy. Wyróżnił ich dwanaście. Uczeń Junga, James Hillman poszedł innym tropem uznając, że ogarniać otaczający świat i oddziaływać na niego można poprzez obrazy, metafory. To one rezonują w ludziach. Nie trzeba ograniczać się do konkretnych przedstawień, zwłaszcza uznawanych za odwieczne, transcendentne, odkrytych czy też stworzonych przez jednego czy drugiego badacza. Jung był zakorzeniony w tradycji monoteistycznej, na jej podobieństwo rozwijał swoje koncepcje. To właśnie krytykował u niego Hillman, sam w swoim myśleniu odwołując się do politeizmu. Z perspektywy przedstawionego wcześniej politeizmu psychologicznego obrazy mogą być inaczej odbierane w zależności od sposobu postrzegania świata, również osoby o odmiennych sposobach komunikacji będą je inaczej konstruować.

Znaczenie metaforyczności języka, a zatem i myślenia w życiu, komunikacji, wpływania na wyobraźnię swoją i innych w latach 80. XX w. podjęli George Lakoff oraz Mark Johnson. To metafory, kształtując postrzeganie świata, odgrywają niepoślednią rolę w sferze politycznej. Ten fenomen opisał nieco wcześniej Hans Blumenberg. Zastąpił on z polemiki z Carlem Schmittem dotyczącej teologicznych podstaw nowożytności. Jego zdaniem wykształciła ona własny paradygmat wolny od chrześcijańskich źródeł, zsekularyzowanego świata, przebranego jedynie w nowe szaty, czerpiącego

całymi garściami z tradycji, którą chciała odrzucić. Świecka nowożytność ukonstytuowała się jako coś nowego i odrębnego, zrywała z tradycją. Niemiecki filozof zauważał, że niezmiennosc języka nie wskazuje jeszcze na związek treściowy. Dopiero sprawdzając, co kryje się za danymi pojęciami, można taką relację określić.

Blumenberg pokazał również, jak bardzo jesteśmy skrępowani czasami, w których żyjemy. Każda epoka bowiem posiada dominujące metafory absolutne, niedające się skonceptualizować, będące dla niej fundamentem, nie mogące być traktowane jedynie jako proste chwytły retoryczne, a stanowiące klucz do języka filozoficznego, nie dającego zredukować się do kategorii logicznych. Są one prawdami historycznymi i pragmatycznymi, naznaczającymi myślenie ludzi w danym czasie. Dopiero ich zmiana może przyczynić się do pojawienia się nowej formacji intelektualnej. Tak było, jak pokazuje z kolei Isaiah Berlin, w przypadku odkrycia i sukcesu Newtona. W krótkim czasie prawa fizyczne

stały się wzorem i metaforą dla idealnego rodzaju wiedzy, wywierając przemożny wpływ na wielu XVIII-wiecznych myślicieli, a za ich pośrednictwem na bardziej nam współczesnych.

To właśnie obraz pewnej wiedzy o ludziach i społeczeństwie, dającej się sprowadzić do prostych i niesprzecznych praw i zasad, które można przedstawić w łatwy sposób, leży u podstaw ideału pokojowego i harmonijnego współżycia na świecie osób i grup wyznających różne, jednak mogące pogodzić się wartości. Bobbio w odniesieniu do życia w pokoju użył metafory wędrowców w labiryncie wiedzących o wyjściu, nie znając drogi do niego, ale działających tak, jakby istniało. Przedstawione tu spojrzenie jest inne. Jesteśmy w pomieszczeniu bez wyjścia i musimy zadbać o to, by stworzyć możliwie znośne warunki, korzystając z posiadanego bogactwa doświadczeń i tradycji, choć posiadane zasoby nie zaspokoją i nie zadowolą wszystkich. Niektórych może taka myśl przygnębiać, w innych jednak budzić nadzieję i pocieszenie. ●



PIOTR GÓRSKI

Historyk idei, eseista, komentator spraw publicznych. Publikował m.in. w „Res Publice Nowej”, „Polityce”, „Teologii Politycznej”, „Polska The Times”. Komentował wydarzenia polityczne i społeczne m.in. w Polsat News, TVP Info, TOK FM, Jedyńce Polskie Radio. Przez wiele lat redaktor „Res Publici Nowej”, współpracował z Polityką Insight przy redagowaniu raportów. Koordynował liczne projekty i wydarzenia m.in. dotyczące społeczeństwa obywatelskiego, kultury, świata cyfrowego. Moderator debat publicznych. Tworzy serial idei Główny nurt demokracji liberalnej. Tańczy w miejscach publicznych.

PRYNCYPIUM – DOBROMYŚLNOŚĆ

MAGDALENA M. BARAN

Silmy się tedy dobrze myśleć – oto zasada moralna.
Pascal

Dobromyślność – słowo to Gadacz wprowadza do debaty publicznej w momencie krytycznym, dla wielu z nas niemal najtrudniejszym. W chwili, gdy stajemy wobec wielkiego albo – albo; gdzie *tertium non datur*; gdy albo znajdziemy drogę ku odbudowaniu naszej demokracji, albo prostą drogą zmierzać będziemy już nie ku opcji nie-liberalnej, a wprost ku państwu mafijnemu, zakonserwowanemu w zaściankowej wersji reżimu autorytarnego.

Szukamy zasad. Zasad, które nie zostały zawłaszczone, którym nie odebrano właściwych im znaczeń. Zasad pozwalających nie tylko na prze-trwanie, ale świadome trwanie w budowaniu porządku – tego najbardziej mojego, wewnętrznego; tego, co wyprowadza mnie ku drugiemu człowiekowi; czy wreszcie tego, co da szansę na zbudowanie kolejnych więzi, co podaje rękę, licząc na współ-pracę, współ-notę, współ-dzielenie zarówno ciężarów, jak i radości. Zasad, wartości dających szansę/nadzieję na odnowę, nową jakość, na przyszłość, w której nie tylko nie będziemy patrzeć na siebie wilkiem, ale też znajdziemy realną możliwość/przestrzeń dla myślenia. Etykę opartą na takich właśnie zasadach – wyprowadzonych od jednego „słowa” – proponuje nam Tadeusz Gadacz w swojej najnowszej książce, *Etyka dobromyślności*.

Dużo już było etyk? Być może. Jednak otaczająca nas rzeczywistość – tak polityczna, jak i społeczna – domaga się nowego otwarcia. Tak naprawdę nowego tylko na pozór, bo gdy patrzymy na katalog cnót/wartości/zasad, jakie pojawiają się na kartach książki, to przecież znamy je doskonale. Ba, nawet praktykujemy je w samotności czy sprywatyzowanych wspólnotach. Bo kto dziś nie przyzna się do pojęć takich jak odpowiedzialność, przyzwoitość, godność, szacunek, odwaga, życzliwość, solidarność? Kto nie życzy sobie mądrości, zaufania, patriotyzmu, życia raczej w prawdzie niż w oparach absurdu czy – mówiąc wprost – pospolitego kłamstwa? Kto nie marzy o polityce bardziej

etycznej, proudzkiej w sensie innym niż rozdawnictwo socjalne, prowadzącej do pogłębienia istniejącej przecież polaryzacji? Kto – dodać muszę – z nas, „miłośników wolności”, ale i mądrości? Z tych, co wciąż rozumieją zarówno polityczny, jak i osobisty wymiar naszej wolności. Etyka, jaką naświetla nam Tadeusz Gadacz, zaczyna się od dobromyślności. Od wielkiego słowa, które czyni zmianę.

„Dobromyślność – pisze Autor – wprowadza w rdzeń myślenia etykę” – tu dobre myślenie (a bez tego ani rusz) równa się myślenie logiczne, sprawne, skuteczne. Myślenie nie tylko po prostu sprawcze, ale w pierwszym rzędzie odpowiedzialne. Tytułowa „dobromyślność” okazuje się zatem tożsama z rozumem, a samo „dobro potrzebuje myślenia, gdyż tak jak myślenie bez dobra jest puste, tak dobro bez myślenia może stać się ślepe”. Niby prosta korelacja, ale wymaga myślącego otwarcia, by owo słowo stało się ciałem, a raczej czynem. Dlatego tak bardzo mi z tym myśleniem po drodze. Tu słowo – myślące słowo, zakotwiczone w wartościach – nie ma pouczać, nie ma indoktrynować, nie ma dzielić. Ma powodować konkretny efekt, sensowne działania, dialog wydarzający się w pierwszym i najważniejszym najpewniej momencie właśnie między ludźmi. Choć tyle na start.

Dobromyślność – słowo to Gadacz wprowadza do debaty publicznej w momencie krytycznym, dla wielu z nas niemal najtrudniejszym. W chwili, gdy stajemy wobec wielkiego albo – albo; gdzie

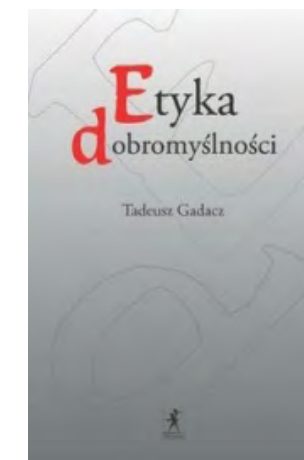
tertium non datur; gdy albo znajdziemy drogę ku odbudowaniu naszej demokracji, albo prostą drogą zmierzać będziemy już nie ku opcji nie-liberalnej, a wprost ku państwu mafijnemu, zakonserwowanemu w zaściankowej wersji reżimu autorytarnego. Książka powstająca w nawiązaniu do Tischnerowskiej *Etyki solidarności* stanowi wstęp do Myślenia 2.0. Bo jeśli – podobnie jak Autor – znajdujemy w sobie niezgodę na nieuczciwość, bezmyślność, arogancję, nieprawość czy nepotyzm; jeśli mierzi nas z jednej strony antyeuropejskość/antyobywatelskość sprawujących władzę, z drugiej zaś bierność współobywateli, to szukanie drogi wyjścia wydaje się oczywiste. Ba, palące. Jeśli w działaniach rządzących wypatrzyliśmy już wszystkie czerwone flagi – degradację języka debaty publicznej, zawłaszczanie instytucji, przejęcie

ale by wytyczać nową ścieżkę, by odbudowywać naszą wolność, by trwać przy demokracji. Dobromyślność ma budzić nas do myślenia/oświeconego nim działania. I nie idzie o to, by szczęśliwym trafem uciec spod antydemokratycznego topora, ale o to, by wsłuchując się uważnie w głosy zasad/wartości, w jakie wprowadza nas Gadacz, skutecznie i rozumnie działać.

Ta książka stanowi zachętę nie tylko do myślenia, ale właśnie do wspartego nim działania. To opowieść dla każdego, kto szuka dobra... w sobie, w drugim człowieku (niezależnie od podziałów, jakie próbuje się wmontować nam w głowy), w różnych formach wspólnoty, co wieść nas mają (świadomie bądź intencjonalnie) ku społeczeństwu obywatelskiemu, jakiego dotąd nie mieliśmy; ku świadomości

ku zasadom i wartościom – zarówno tych, co już wiemy, jak i tych, co szukają. Stanowi też zachętę dla błądzących w żywiole myślenia, bo nie narzuca drogi, ale wskazuje mechanizmy pozwalające się na niej utrzymać. Te, co prowadzą nas prosto, ale i te, co wiodą na manowce. Kluczem dobromyślności jest rozum. Zaś rozum – za Bollnowem – „oznacza tu mechanizm wspólnoty, w której ludzie nawzajem się sobie przysłuchując, mogą spotkać się w rozmowie (...) Kto pozwala ze sobą mówić, ten jest człowiekiem, który nie upiera się tępo przy swoich zamiarach, który ze swej strony wychodzi naprzeciw drugiemu i w obopólnych staraniach gotowy jest do twórczego kompromisu”. Ów twórczy kompromis zdaje się być dziś do wypracowania jako odpowiedź na zło. Odpowiedzi na nie – tworzonej w oparciu o tytułową dobromyślność – potrzebujemy dziś jak kania dżdżu. Żeby wypatrywać demokratycznej przyszłości, potrzebujemy tego twórczego, logicznego, sprawnego, odpo-

wiedzialnego i skutecznego myślenia. Myślenia, które działa, przejmuje pałeczkę i nie pozwala nam utknąć w ślepych zaułku. Myślenia w spotkaniu i wzajemnej współ-odpowiedzialności, w stawianiu kolejnych kroków ku wyjściu z zaklętego kręgu, nie nazywania rzeczy po imieniu. Dobromyślność, którą ofiarowuje nam Tadeusz Gadacz, jest ku temu najlepszą ścieżką. ●



Tadeusz Gadacz,
Etyka dobromyślności
Wydawnictwo: Stentor,
2023

Nie idzie o to, by szczęśliwym trafem uciec spod antydemokratycznego topora, ale o to, by wsłuchując się uważnie w głosy zasad/wartości, w jakie wprowadza nas Gadacz, skutecznie i rozumnie działać

służby cywilnej, zamach na niezależność władzy sądowniczej, próby upolitycznienia nauki i edukacji, przejęcie mediów publicznych, wykorzystanie służb do inwigilacji przeciwników politycznych etc. – to naprawdę nie ma na co czekać. „Wiedzieć/mieć świadomość” nie jest wszak tożsame z „działać”. Tymczasem potrzeba rozumu, myślenia, odpowiedzialnego działania nie tylko aby przetrwać,

budowania więzi, ku otwarciu – choćby uchyleniu drzwi – do dialogu. Punktem wyjścia ku temu jest myślenie. Skoro – jak chciał Arystoteles – „myślący żyje bardziej”, to uczynienie z myślenia centrum nie jest tylko wymysłem filozofów, ale wprost wymogiem życia, *sine qua non* naszego bycia w świecie. Dlatego właśnie erudycyjna propozycja Tadeusza Gadacza nie przytłacza, ale prowadzi za rękę –



MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą* (Liberté! 2018) oraz *Oblicza wojny* (Arbitror 2018). Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

INSYGNIA BAŚNIE I DRAM – FEMINIZM PO KRÓLEWSKU

ALICJA MYŚLIWIEC

Tabloidowy feminizm nosi wygodny królewski kostium, opierając się na podstawianiu sobie stołków, absurdalnej konkurencji, częściej w wyścigu o uznanie opinii publicznej, rządziej o tron, powiela mizoginistyczne uprzedzenia i oddaje hołd pamięci przeszłości. Spektakl, który rozgrywa się wokół Royal Family, nie złagodzi lęku przed konsekwencjami Brexitu i pogłębiających się podziałów, ale coraz ważniejszą rolę odgrywają w nim kobiece bohaterki.

Królowa ludzkich serc¹, „evil Camilla”², „czekającą Katie”³ i „narcystyczna socjopatka”⁴ – kobiece figury w monarchicznym dyskursie to postaci rysowane grubą kreską, przynależne do elit, w kreowanych publicznie konfliktach zbliżające się jednak do socjologicznego największego wspólnego mianownika. Miejsce feminizmu wciąż jest w szafie Pałacu Buckingham. I to dosłownie. Diabeł tkwi tu w szczegółach i dodatkach.

Światowe media rozpisują się o łyżeczce z XII wieku, na którą w rytuale koronacji wylewa się olejek ze złotej amputy. Oglądamy zdjęcia złoty-

nowoczesnych emblematów zgromadzonych. Dowiadujemy się, że królewska suknia w kolorze kości słoniowej miała misterny, złoty haft dwóch czworonogów na rąbku jej spódnicy tuż pod jej królewskimi insygniami, podczas gdy imiona syna Toma i córki Laury, a także czwórki wnuków, Gusa, Elizy, Louisa i Loli, wplecione były w wyhaftowane pnąca. Zresztą stroje są ważne również w kontekście polityki międzynarodowej. Stany Zjednoczone reprezentowała Jill Biden. I Finnegan Biden, które pojawiły się w żółtej i niebieskiej sukience, kolorach flagi Ukrainy. Z kolei dla kreacji księżnej Kate kluczowe okazały się kolczyki – pamiątka po Lady D.

Miejsce feminizmu wciąż jest w szafie Pałacu Buckingham. I to dosłownie. Diabeł tkwi tu w szczegółach i dodatkach

ch karek, z których jedna ma klimatyzację, a druga 263 lata, do tego dochodzi jeszcze udekorowana 444 kamieniami szlachetnymi, m.in. rubinami, amethystami, szafirami, granatami, topazami i turmalinami korona św. Edwarda. Szczegółowo analizuje się nie tylko królewskie klejnoty, ale również symbole zakodowane w sukniach, płaszczach czy innych

Uwagę mediów przykuła też Penny Mordaunt. Była pierwszą w historii kobietą, która podczas koronacji nosiła zabytkowy miecz i przekazała go władcy. Symboliczny gest dostał zaskakującą oprawę. Sieć zasypała komentarze Penny opowiadającej, w jaki sposób przygotowywała się fizycznie do ceremonii, robiąc pompki i ćwicząc z replikami.

¹ Diana Frances Spencer – członkini brytyjskiej rodziny królewskiej, pierwsza żona Karola III, króla Wielkiej Brytanii, syna królowej Wielkiej Brytanii Elżbiety II i Filipa, księcia Edynburga. Matka Wilhelma, księcia Walii oraz Henryka, księcia Sussexu, odpowiednio 1. i 5. osoby w sukcesji do tronu brytyjskiego.

² Kamila – królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, jako żona Karola III, króla Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej.

³ Katarzyna, księżna Walii – członkini brytyjskiej rodziny królewskiej, żona Wilhelma, księcia Walii, następcy brytyjskiego tronu. Księżna Walii od 9 września 2022 r. Matka Jerzego, Karoliny i Ludwika, którzy zajmują kolejno: drugie, trzecie i czwarte miejsce w linii sukcesji do brytyjskiego tronu.

⁴ Meghan, księżna Sussexu - od 2018 r. członkini brytyjskiej rodziny królewskiej jako żona Henryka, księcia Sussexu.

Tabloidowy feminizm nosi wygodny królewski kostium, opierając się na podstawianiu sobie stołków, absurdalnej konkurencji, częściej w wyścigu o uznanie opinii publicznej, rządziej o tron, powiela mizoginistyczne uprzedzenia i oddaje hołd pamięci przeszłości. Spektakl, który rozgrywa się wokół Royal Family, nie złagodzi lęku przed konsekwencjami Brexitu i pogłębiających się podziałów, ale coraz ważniejszą rolę odgrywają w nim kobiece bohaterki. Zamiast przełamania tabu i znoszenia granic, serwuje się nam jednak królewską bajkę o pragmatycznym, konserwatywnym charakterze. Tradycja i nowoczesność w spektakularny sposób nawiązują relację o charakterze „friends with benefits”. Z korzyścią dla tej pierwszej.

Miłość do króla a noszenie korony to dwie różne sprawy. Camilla miała brutalnie się o tym przekonać. Jej droga do tronu była nie tylko długa, ale

Internet zasypują grafiki podsumowujące, że komuś się opłacało bycie „tą na boku”. To nie efekt zmiany obyczajowej, ale mozolnego procesu odbudowy wizerunku, w czym pomógł zatrudniony w tym celu przez księcia Karola PR-owiec Mark Bolland. Etyka jego działań od lat budzi wątpliwości. Miał rzekomo podrzucić do mediów historie w zamian za artykuły, które stawiałyby Camillę w pozytywnym świetle. Ale nie po raz pierwszy w historii cel uświęca w ten sposób środki.

Ulubienicą mediów jest za to przyszła królowa. Potencjalnie pierwsza, która będzie wywodzić się z klasy średniej i ma dyplom wyższej uczelni. Pierwsza, która w okresie narzeczeńskim mieszkała z księciem, pracowała zarobkowo i pokazała się na wybiegu w samej bieliźnie. Cierpliwością i konsekwencją szybko odkupiła potencjalne winy. Kluczem była pokora w stosunku do symboli, które

już królowej Elżbiety II. Ważne są też jej relacje z innymi kobietami. Kiedy Meghan Markle stała się częścią rodziny królewskiej, relację Pań brytyjskie media nazywały chłodną i podkreślały, że ogranicza się do oficjalnych spotkań. Niestety do czasu. Uwaga zaczęła się koncertować na rzekomych konfliktach. Kate miało być ciężko zaakceptować to, że ktoś inny przykuwa uwagę mediów. Miała do tego dochodzić zazdrość wobec swobody i obycia przed kamerą. W momencie wycofania Meghan z pełnienia obowiązków w strukturach królewskich, problem powinien rozwiązać się sam. Niestety nic na to nie wskazuje. Markle nie wzięła udziału w koronacji z nie do końca jasnych powodów, wśród których wymienia się m.in. konieczność opieki nad dziećmi i świętowanie urodzin syna, a nawet spekuluje się o trzeciej ciąży księżnej.

Mimo tego Amerykanka nie znikła z pierwszych stron gazet. W mediach społecznościowych brytyjskiej rodziny królewskiej udostępniono filmik, w którym do królewskiej karocy zostaje zaprzężona siwa

klacz o imieniu... Meg. Dokładnie tym zdrobnieniem książę Harry zwraca się do swojej ukochanej. Meghan ma powody do zadowolenia. W maju – z ręką ikony feminizmu Glorii Steinem – otrzyma prestiżową nagrodę Women of Vision za „globalne orędownictwo na rzecz wzmocnienia pozycji kobiet i dziewcząt”. Szkoda, że świat jest bardziej skłonny do kibicowania podziałom między Paniami, zamiast skoncentrować się na tym, co mogłoby je połączyć.

Koszt koronacji wyniósł ponad 250 mln funtów, Rodzina królewska twierdzi, że tegoroczna dotacja na jej utrzymanie w wysokości 86,3 mln funtów stanowi równowartość 1,29 funta na osobę. To mniej niż każdego Polaka kosztuje utrzymanie Kancelarii Prezydenta. Różnica polega też na tym, że ten wydatek to znakomita inwestycja. Na monarchii gospodarka brytyjska zarabia krocie. Złotówka na kancelarii prezydenta tylko traci, a jedyny rodzaj marketingu, jaki uprawia pierwsza dama to marketing szeptany. ●

W mediach społecznościowych brytyjskiej rodziny królewskiej udostępniono filmik, w którym do królewskiej karocy zostaje zaprzężona siwa klacz o imieniu... Meg. Dokładnie tym zdrobnieniem książę Harry zwraca się do swojej ukochanej

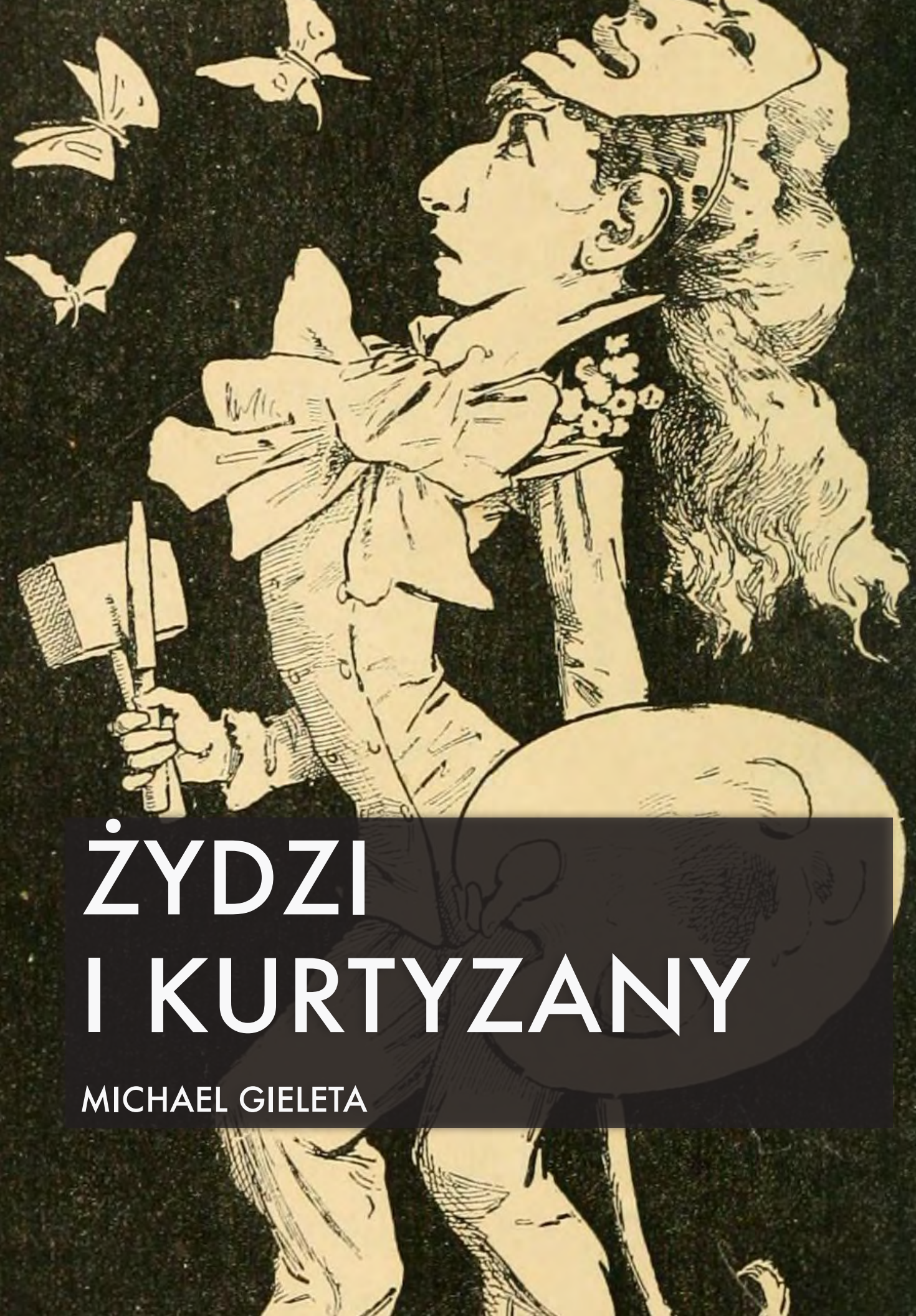
i wyboista. Internet mówił krótko – Cruella lub „evil Camilla”. To na nią zrzucano odpowiedzialność za wszystkie tragiczne wydarzenia, jakie spotkały księżną Dianę. To ona miała uwieść bogu ducha winnego Karola. Dzisiaj – kilka dni po koronacji –

kocha świat. Nie inaczej było podczas koronacji. Kate oddała hołd księżnej Dianie, zakładając diamentowe kolczyki z perłą, które do niej należały. Do tego dobrała naszyjnik, który powstał w 1950 r. na prośbę króla Jerzego VI dla jego córki, nieżyjącej



ALICJA MYŚLIWIEC

Medioznawczymi z wyboru, zawodu i wykształcenia. Teoretyczka i praktyczka. Od lat pozostaje w sformalizowanym związku z Uniwersytetem Jagiellońskim i w związku otwartym z kinem niezależnym (Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi, Mastercard OFF CAMERA, Letnia Akademia Filmowa w Zwierzyńcu). Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, kulturoznawstwa międzynarodowego, gender studies, w końcu studiów doktorskich z wiedzy o sztuce, doktorantka wiedzy o mediach. Dziennikarka radiowa (Antyradio, RMF Classic, Meloradio) i telewizyjna (TVN). Koneserka przyjemności. Wielbicielka jogi. Właścicielka agencji kreatywnej PR Broker.



ŻYDZI I KURTYZANY

MICHAEL GIELETA

Gdyby tak połączyć talent, pracowitość, inwencję twórczą, wszechstronność, społeczną mobilność, przedsiębiorczość, świadomość polityczną, działalność charytatywną, perfekcyjne wycucie ducha czasów, otwartość na nowe media i młode talenty, bezpardonowe wkroczenie w patriarchalne dyscypliny sztuki, umiejętność ustabilizowania sukcesu przez dziesięciolecia, w końcu, zdolność komunikacji z głębokimi emocjami, tak elitarnej, jak i powszechnej publiczności, może udałoby się zbudować prototyp, który by przełamał dla XX-wiecznych kobiet bariery niemożności. Ten prototyp nosiłby imię Sary Bernhardt. Taki amalgam Barbry Streisand, Marii Callas, Madonny, Isabelle Huppert i Ewy Perón: rozdroże sacrum, jak i profanum, familiarności, jak i egzotyizmu, krzyża na dyszącym, głębokim dekolcie, jak i beznamiętnego chłodu, duchowej zmysłowości, jak i czelnie kontrolowanej ekspresji własnej seksualności, moralnego liberalizmu, jak i konserwatywności w sferze domowej, niezależnego zarządzania własną karierą, jak i wycucia szowinistycznych oczekiwań rynku, tytanicznej pracowitości, jak i dyktowania warunków jej sprzedaży.

Ten amalgam nosiłby właśnie imię Sary Bernhardt.

W paryskim Petit Palais na stulecie śmierci Bernhardt otwarto właśnie wystawę poświęconą (rzeczywiście niezrównanej może) karierze „najstynniejszej aktorki wszechczasów”.

Oczywiście, niczym zwierzale perfumy, wyliniałe kostiumy, makiety jednowymiarowych dekoracji czy paradne rekwizyty są dla współczesnych oczu zaprzeczeniem radykalności. Wczytawszy się w głębszy oddźwięk wystawy, oglądający muszą złożyć sobie w całość osobowość, która opiera się homogeniczności; karierę, która do kresu życia Bernhardt opierała się na pogoni za tym, co następne, co świeże, co jeszcze nieodkryte; zjawisko pierwszej międzynarodowej supergwiazdy, statusu, który wymagał stałej prezencji na pierwszych scenach świata, jak i kuriozalnie odległych teatrów na kresach skolonizowanego globu. Nużący wręcz natłok nadaktywności *la divine Sarah* staje się świadectwem dyscypliny, niesymulowanej pasji i pokładów energii, bez których sam talent sceniczny pozostałby zjawiskiem lokalnym. Stawanie się legendą za życia, ambasadorką frankofońskiej poezji, prekursorką interdyscyplinarności twórczej, symbolem francuskości w ojczyźnie, która postrzegała ją do końca jako bękartą i uzurpatorkę, wymagało siły i wiary we własne powołanie, które nawet w dzisiejszej dobie aspirującej inkluzywności we wszystkich dziedzinach sztuki współczesnej jest zarówno bezprecedensowe, jak i niewyobrażalne. Może sama Bernhardt odzwierciedliła najlepiej realia bycia wieczną uzurpatorką podczas opierania się kolejnemu antysemickiemu atakowi: „Jeśli mam obcy akcent, drogi panie, (czego bardzo żałuję), jest to akcent kosmopolityczny, nie germański. Jestem córką

wielkiej rasy żydowskiej, a mój język, nawet jeśli mało wyrafinowany, jest efektem narzuconego nam tułactwa.”

Już w połowie XIX wieku Balzac uchwycił w *Komedii Ludzkiej* zjawiska, które uformują kwintesencję III Republiki i *la Belle Époque*: znaczenia kurtyzan na polu towarzysko-politycznym, ich wpływów na kulturę międzynarodowych salonów, teatrów i oper oraz przemian społecznych (oraz artystycznych) spowodowanych nieoczekiwanym przybyciem talentu pochodzenia żydowskiego we francuskim panteonie. Tak jak ferment obyczajowy wywołany losem ultra-kurtyzany Marguerite Gautier w *Damie kameliowej* Dumasa-syna (i następnie w *Traviacie*), tak te cztery fale emancypacji mniejszości żydowskiej na zawsze zmieniły klimat kulturowy Francji: żydowskie oświecenie, czyli *haskalah*, uniezależnienie się sefardyjskich Żydów z południa Francji, napływ niemieckich Żydów po zabiorze przez Prusy Alzacji i Lotaryngii oraz masowej emigracji wschodnio-europejskich Żydów po fali pogromów w carskiej Rosji. Nieprawdopodobna wręcz jest historia najśłynniejszej z kurtyzan La Païvy, łączącej w sobie owoc tych dwóch zjawisk: La Païva, urodzona z polskich rodziców w Moskwie jako Estera Lachmann, stała się „królową utrzymanek i władczynią swojej rasy”, inspiracją innej jeszcze powieści Dumasa-syna (*La femme de Claude*) i niewiarygodnie bogatą *businesswoman*.

Pośród kochanków i mężów miała wirtuoza światowej sławy Henri'ego Herza (ukrywającego przed publicznością, jak wielu przed i po, swoje żydowskie korzenie), dziedziców fortun, londyńskich i paryskich arystokratów, bankierów. W jej pałacu przy Champs Élysées (znanym jako „Luwre od dupy”) przyjmowani byli Émile Zola, Gustave Flaubert, Eugène Delacroix, Richard Wagner i Théophile Gautier. Ostatni mąż Païvy, kuzyn Ottona von Bismarcka, hrabia Guido von Donnersmarck wybudował dla niej pałac w Pontchartrain oraz Schloss Neudeck w dzisiejszym Świerkłańcu. W kontekście inwigilacji małżeństwa przez międzynarodowe służby specjalne, ironicznym wydaje się to, że potomek Guida, Florian Henckel von Donnersmarck wyreżyserował i dostał Oscara za „Życie na podsłuchu”.

O ile los Païvy brzmi (nie będąc nią) jak miejska legenda dla klas niższych, o tyle transformacja Henrietty Rosiny Bernard, nastoletniej żydowskiej kurtyzany, w aktorkę Sarę Bernhardt odbyła się nie w półświatku, ale na deskach Comédie Française. Tak, jak znana po prostu z pierwszego imienia największa francuska gwiazda pierwszej połowy XIX wieku, Rachel (urodzona jako Élisabeth Félix), tak i Henrietta Bernard od początku kariery afirmowała swoją żydowską tożsamość poprzez zmianę imienia, jak i pisowni nazwiska, będącego połączeniem nazwiska matki (von Hart) i przypuszczalnego ojca (Bernard). W Paryżu

Sary Bernhardt sławę osiągnęli już Offenbach, Meyerbeer i Halévy. Charles Haas (kochanek Bernhardt) stał się dla Prousta inspiracją dla Swanna. Tak jak Proust, jego wenezuelski partner, kompozytor Reynaldo Hahn był katolickim Żydem. Bernhardt dla Prousta stała się muzą do postaci Bermy w *Poszukiwaniu straconego czasu*, a z Hahnem wykonywała skomponowane dla niej pieśni. W Paryżu Sary Bernhardt Camille Pissarro zaczął torować ścieżkę ku post-impresjonizmowi. Poezja Heinego przyniosła ożywienie twórcze dla kolejnych pokoleń poetów. Baronem prasowym i mistrzem PR był Arthur Meyer. Ministrami byli Adolphe Crémieux, Michel Goudchaux i Achille Fould. Teatr nazywany był „zażydżonym” do tego stopnia, że nawet sukcesy dramaturga i librecisty Eugène Scribe'a przypisywane były jego domniemanemu, choć nieistniejącemu, żydostwu (autorstwo libretta opery Halévego *La Juive* mu w tym nie pomogło). Oczywiście, tak konserwatywne elity, jak i niższa burżuazja kojarzyła żydowskość albo z bankierskim kapitalizmem (rodzina Rothschildów i czy berdyczowska dynastia Ephrussich) albo ze znieawidzonym socjalizmem (Saintsimonizm, Karl Marx et al.). „Efekt Rothschilda” i upadek katolickiego banku l'Union Générale stworzyły żyzny grunt dla pseudo-ideologii Édouarda Dumonta i jego poczytnej antysemitycznej *Żydowskiej Francji*. U końca stulecia, afery Dreyfussa podzieliła Francję tak, jak 120 lat później „kłamstwo smoleńskie” podzieliło Pol-

skę. Komentarz Bernhardt („Po chrześcijanach spodziewałabym się czegoś lepszego”) był tak bez znaczenia, jak i byłby dzisiaj w narodowo-katolickiej Warszawie.

Ale nawet długo przed aferą Dreyfussa, tak progresywni artyści jak Edgar Degas czy Pierre-Auguste Renoir dali się zakręcić w antysemitki wir. W przypadku Degasa, w wir obsesyjności. Degas namiętnie czytał właśnie *Żydowską Francję* Drumonta. Zerwał kontakty z Bizetem, bo jego żona Geneviève była Żydówką. To, że jej ojciec Fromental Halévy napisał przed laty słynną operę *La Juive* (empiryczny portret ofiar uprzedzeń rasowych i religijnych), operę, która w dodatku była komercyjnym sukcesem („zachłanni Żydzi”) przekreśliło dla Degasa znaczenie przyjaźni. Zawiesił również znajomość z Ludovic'em Halévy'm (notabene librecistą *Carmen* i kuzynem Geneviève). Odmawiał zatrudniania modelek pochodzenia żydowskiego. Po wybuchu afery Dreyfussa, wraz z Renoirem, przestali się odkłaniać na ulicy Pissarrowi. W latach afery Dreyfussa udzielał się we Francuskiej Lidze Ojczyźnianej. Żydowskie postacie w kuluarach banków czy teatrów malował z haczykowatymi nosami, opływającymi ustami i w kudłatych brodach. Na pogrzebie Pissarra nawet się nie pojawił. W liście do znajomego anti-dreyfussarda napisał natomiast: „No i zmarło się staremu żydowi (sic!)-tułaczowi. Gdyby tylko mnie ostrzeżono, chodziłbym na ulicy kilka



kroków za nim. Od czasów tej okropnej afery, czy on w ogóle myślał o żenadzie, którą odczuwało się w jego obecności? Czy tylko tęsknił za starymi dobrymi czasami, kiedy byliśmy nieświadomi tego, że jest potomkiem tej okropnej rasy?”

W takiej atmosferze królowała świadoma tego, że jest potomkinią „tej okropnej rasy” Sarah Bernhardt. O dziwo, wystawa w Petit Palais nie wspomina na żadnym etapie o jej pochodzeniu etnicznym. Można niemniej zobaczyć ohydne karykatury tej „teatralnej kupczychy”. Naturalnie, widzimy w nich prominentny nos, szpony zamiast dłoni, nieokietznane „żydowskie” rude włosy, nisko położone ciężkie uszy, diable kopyta zamiast stóp, chimeryczną (znaczy się „zwodniczą”) chudość; tu ogon, a tam żmija zamiast dolnego tułowia.

Trudno jest oszacować odwagę Bernhardt pracującej w świecie pozbawionym rasistowskich ramifikacji, empatii z żydowskim doświadczeniem czy pryzmatem tragedii żydowskiej XX-wieku. To co przychodzi do głowy, to jej samotność na scenie (jak musiała się czuć wygwizdana jako Żydówka w Kijowie?), samotność w dwuosobowej rodzinie (jej syn Maurice okazał się antydreyfussardem) czy, po odejściu z Comédie Française, samotność i ostratyzacja przy czytaniu tego typu anonimów: „Dobrze będzie nie musieć oglądać od jutra twojego szkaradnego żydowskiego

nosa”. Mądrość aktorska Bernhardt polegała na tym, że wybierała dla siebie postacie, które nie wymagały atrybutów konwencjonalnego „piękna” (Tosca, Medea, Joanna d’Arc, Lady Macbeth, Lucrezia Borgia, Ofelia, Cleopatra, Fedra, Cordelia, Marguerite Gautier) lub wprost grała role *travesti*, które znajdowała zarówno intelektualnie ciekawsze, jak i wymagające szerszej wyobraźni aktorskiej (Hamlet, Aiglon u Rostanda, Chérubin u Beaumarchais, Werther, Lorenzaccio, Pierrot, Pelléas). To, że była najwyżej opłacaną kobietą swojej epoki daje nadzieję, że w którejś ze swoich rezydencji umiała odnaleźć izolację pozwalającą na ignorowanie mizoginicznej i antysemitycznej wrogości. Oczywiście fakt, że przy politycznych czy społecznych niepokojach we Francji, organizowała dla swojej trupy tournée, od Santiago de Chile po Moskwę, od Miami po Sydney, wracając z nich do Paryża jako multimilionerka, niezależna od kaprysów rodzinnej publiczności, musiało stanowić dla niej moralną i artystyczną walidację. Same liczby publiczności (która aktorka czy aktor przyciągnąłby dzisiaj 10 tysięcy widzów w Chicago czy Montrealu, w dodatku na spektakl w obcym języku?!) przypominają statystyki koncertów współczesnych gwiazd popu. Bernhardt przed wszystkimi zroszczyła siłę nośną powielanego obrazu fotograficznego („przygotowywanie się do roli” poprzez spanie w trumnie), autopromocji (przelet balonem nad Paryżem), reklamy produktów (puder, absynt),

dplomacji kulturowej (lobbying podczas I Wojny Światowej o przyłączenie się USA do Aliantów), znaczenie komercyjne i nostalgiczne pamiątek teatralnych (miniatury rzeźb i obrazów sprzedawanych w trakcie antraktu), znaczenia partycypacji gwiazdy w akcjach charytatywnych (na ofiary pogromów w Rosji czy też trzęsienia ziemi w San Francisco, zbieranie funduszy na badania Marii Curie-Skłodowskiej), rejestracji medialnej ról (zarówno na płytach gramofonowych, jak i później przed kamerą), mocnego obrazu publicznego (portrety i fotografie w spodniach z pędzlem w ręku, domowe zdjęcia z oswojonym gepardem), akcji społecznych (transformacja jej prywatnego teatru w szpital wojskowy podczas wojny francusko-pruskiej, granie na froncie podczas Pierwszej wojny światowej), pionierstwa równych praw dla niepełnosprawnych

(pomimo amputacji nogi, nie przestawała pracować), nagości na scenie (Oscar Wilde właśnie dla niej napisał *Salome* lecz Lord Kancierz zakazał londyńskiej premiery „amoralnej sztuki”), wagi literackiego głosu praktyków sceny (eseje teatralne, autobiografia i dwie powieści), dzielenia się z publicznością dylematem pogoni za młodością (dyskusje o własnym liftingu twarzy), stawiania wyzwań ageizmowi (granie siedemnastoletniego chłopca w wieku 66 lat, relacja w ostatnich latach życia z dwudziestosiedmioletnim kochankiem), w końcu, poświęcenia się, jak najbardziej żydowska z żydowskich *mame*, największej miłości swojego życia – własnemu synowi. Nawet pośród zwietrzałych kostiumów i zwiędłych wachlarzy, impakt wczesnego *women power* mówi tak naprawdę o dalekiej drodze, która stoi jeszcze przed nami. ●



MICHAEL GIELETA

Reżyser operowy i teatralny. Ukończył studia w zakresie literatury na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie jego mentorem był m.in. Cameron Macintosh. Ponadto ukończył program reżyserski w National Theatre w Londynie. Był asystentem Franco Zeffirellego przy jego realizacji *Absolutely! (perhaps)* Pirandella na West Endzie. Asystował również w Royal Shakespeare Company. Reżyseruje głównie na deskach teatrów brytyjskich, amerykańskich, skandynawskich i południowoafrykańskich. Pełnił obowiązki dyrektora artystycznego awangardowej The Cherub Company London. Współpracował z Yale School of Opera, Royal College of Music oraz Birmingham Conservatoire. Jest także jednym z reżyserów Akademii Szekspirowskiej w Royal Academy of Dramatic Art.

Stoimy na wspólnej scenie. Odnajdujemy kontekst, w którym razem zastanawiamy się „Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju, gdzie przyjaciele z dala się obchodzą”? Bo jednak coś nas obchodzi, zajmuje, martwi. I patrząc na świat, będąc zanurzonymi w coraz bardziej niedogodnej, a nawet groźnej codzienności, nie rwimy sobie włosów z głowy, ale szukamy. Przekopując się przez te ponad już trzydzieści lat polskiej wolności – pojmowanej zarówno jako wolność osobista, polityczna, jak i jako kategoria społeczna – szukamy klucza do własnej wspólnoty, ale też do naszej indywidualności.

(fragment książki)



Magdalena M. Baran w Bibliotece Liberté!

Urzekła mnie w tej książce, że jest próbą powrotu do tego, co najprostsze, ale dziś wyparte i utracone. Powrót do rozmowy, dialogu, niespiesznej wymiany myśli z dala od bezduszno-bezmyślnych „palcuszków”, które dewastują nasz kraj – oto jedyną drogą do ocalenia.

Piotr Augustyniak

W czasie, gdy na świecie dominuje monolog, rozmowa staje się bezcenna. Magdalena M. Baran w swojej książce przywraca rozmowie powagę i znaczenie.

Jarosław Makowski

L!

SPRAWCZOŚĆ I DOSTOJEŃSTWO. CZY BRYTYJSKA MONARCHIA MA JESZCZE SENS?

KAMIL SZALECKI

Cyklicznie rodzą się pytania: czy monarchia jest instytucją archaiczną, zbędną, czy ma w dzisiejszym świecie jeszcze jakiś sens? Jaką spełnia rolę? Czy jest stałym elementem życia Brytyjczyków, którego po prostu trudno się pozbyć i jakoś tak sobie wciąż trwa, czy może jest czymś, czego powinniśmy im zazdrościć, szczególnie jako Polacy?

Walter Bagehot, jeden z wpływowych brytyjskich dziennikarzy epoki wiktoriańskiej, w swojej publikacji „The English Constitution” z 1867 roku stwierdził, że porządek ustrojowy, dla swojego najskuteczniejszego funkcjonowania, wymaga dwóch aspektów – zapewniającego sprawczość rządu oraz monarchy, źródła dostojęstwa i dostarczającego poddanym tak potrzebnej im teatralności oraz mistycyzmu, widowiskowych obrzędów.

Myśl ta jest wstępem do rozważań, które ozywają zawsze przy okazji ważnych wydarzeń związanych z brytyjską rodziną królewską, w tym wypadku koronacji króla Karola III. Uroczystość oglądałem ze szczególną uwagą. Z jednej strony dlatego, że poprzednia taka okoliczność miała miejsce 70 lat temu, z drugiej zaś, ponieważ każda taka może być ostatnią.

Cyklicznie rodzą się pytania: czy monarchia jest instytucją archaiczną, zbędną, czy ma w dzisiejszym świecie jeszcze jakiś sens? Jaką spełnia rolę? Czy jest stałym elementem życia Brytyjczyków, którego po prostu trudno się pozbyć i jakoś tak sobie wciąż trwa, czy może jest czymś, czego powinniśmy im zazdrościć, szczególnie jako Polacy?

Można przytaczać różne argumenty przemawiające za monarchią. Od tych finansowych, jak np. zyski z turystyki z nią związanej,

z rozpoznawalności królewskiej marki, z różnorodnych działań i przedsięwzięć związanych z brytyjską rodziną panującą, posiadającą rozmaite nieruchomości i przedsiębiorstwa, z oficjalnych uroczystości (eksperti szacują, że koronacja Karola III, mimo wysokich wydatków, przyniesie brytyjskiej gospodarce zysk), aż do wzmocnienia brytyjskiego soft power – poprzez rozpoznawalność samego państwa i narodu, większą ich obecność w popkulturze czy aktywną działalność członków rodziny królewskiej.

„Król panuje, ale nie rządzi”

Król w Wielkiej Brytanii „panuje, ale nie rządzi”, co oznacza, że nie tworzy obowiązującego prawa, nie jest sędzią, a jego uprawnienia z zakresu władzy wykonawczej są czysto symboliczne i reprezentacyjne.

Brytyjski monarcha to symbol ciągłości i siły państwa, systemu prawnego i narodu. Zmieniają się rządy, partie polityczne, charakterystyka brytyjskiego społeczeństwa, przeobraża się i zmienia cały świat, czynnikiem niezmiennym pozostaje właśnie monarchia, która trwa (z krótką przerwą) od niemal tysiąca lat. Podczas wspomnianej koronacji Karola III, która według brytyjskich mediów odbyła się „w zgodzie z tradycją, ale w nowoczesnym duchu” korzystano z kilkusetletniego ceremoniału. Jedną z karet, którą poruszał się monarcha, ma 263 lata.

Król jest jednak nie tylko uosobieniem przeszłości, ale łącznikiem z nią, wyrazicielem także owego „nowoczesnego ducha”. Stąd m.in. bardziej ekumeniczny wymiar ceremonii oraz większy udział w nim kobiet, a także zmiana jednej z formuł i „zaproszenie” zamiast „wezwania” do nie „hołdu ludu”, lecz „wyrażenia

mię wtedy punkt odniesienia znajdujący się znacznie powyżej niego.

Ubrudzony prezydent

Podziały w społeczeństwie są sytuacją najzwyczajniej normalną. Zażarta walka polityczna, jeśli mieści się w ramach pewnej przyzwoitości,

Król jest jednak nie tylko uosobieniem przeszłości, ale łącznikiem z nią, wyrazicielem także owego „nowoczesnego ducha”. Stąd m.in. bardziej ekumeniczny wymiar ceremonii oraz większy udział w nim kobiet, a także zmiana jednej z formuł i „zaproszenie” zamiast „wezwania” do nie „hołdu ludu”, lecz „wyrażenia wsparcia” dla nowego monarchy

wsparcia” dla nowego monarchy. Wszystko to zaś w atmosferze wielkiej podniosłości, teatralności i mistycyzmu, czy, jakby to opisał Walter Bagehot, dostojeństwa.

W ten oto sposób dochodzimy do sedna. Monarchia łączy i spaja, jest czymś ponad codziennością, czymś po prostu większym. Mimo, że rodzina królewska to nadal po prostu ludzie, to poświęcają oni swoje życia dla właśnie tej wartości. Codzienne życie polityczne zawsze było, jest i zapewne będzie pełne brudu, fałszu i zepsucia. Dobrze

również. Problem pojawia się wtedy, kiedy to obie strony sporu nie łączy już prawie nic. Autorytety są „nasze” lub „ich”. Historia jest czarno-biała. „Nasi” są w niej bohaterami, a „ci drudzy” zdrajcami. Kiedy, posługując się terminologią Szymona Hołowni, wśród obywateli jednego państwa nie ma „wspólnego DNA”. Kiedy jedni dumni są z dorobku III Rzeczypospolitej, a drudzy tworzą IV RP, proklamując jednocześnie w roku 2015 koniec komunizmu.

Republikańska głowa państwa, w domyśle także, tak jak król, symbol jego ciągłości i siły

instytucji, która ma spajać i łączyć, jest wybierana przez obywateli, parlament lub inne powołane do tego ciało. Niezależnie czy mówimy o republice o ugruntowanej i skonsolidowanej demokracji i z wysoką kulturą polityczną, czy o przykładzie opisanym wyżej, zawsze republikańska głowa państwa będzie ubrudzona lub całkowicie zanurzona we wspomnianym pełnym brudu, fałszu i zepsucia życiu politycznym, mimo że specyfika jej roli predestynują ją do wzniesienia się ponad to.

Czy powinniśmy zatem wprowadzić w Polsce monarchię? Nie miałoby to dziś w naszym kraju

większego sensu, co sprawia, że Brytyjczykom możemy jedynie zazdrościć. Poparcie dla takiej formy rządów w Wielkiej Brytanii utrzymuje się od dziesiątek lat na podobnym poziomie. Również najmłodszy, tradycyjnie najbardziej sceptyczny, z wiekiem stają się rojalistami.

Pewnego rodzaju zastępczym monarchą był w Polsce przez dziesięciolecie Jan Paweł II. Co symboliczne, i pewnie z tym niepowiązane, w roku śmierci papieża, a więc w 2005, zaczął rodzić się w Polsce podział, który trawi ten kraj i uwydatnia braki tego, co zapewnia w Wielkiej Brytanii monarcha. ●



KAMIL SZALECKI

Student prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Zaangażowany w ruch naukowy na Wydziale Prawa i Administracji. Członek Fundacji Nowy Głos. Ambasador Fundacji Court Watch Polska. Miłośnik debat w formacie oksfordzkim oraz parlamentarnym. Wcześniej wielokrotny laureat, bądź finalistą konkursów oraz olimpiad z zakresu nauk społecznych i prawnych. Katoliberat.



PIOTR BENIUSZYS

WIĘZY KRWI

Każdy rodzic chce, aby jego dzieci żyły we wzajemnej przyjaźni, miłości i zaufaniu. Co to będzie z nimi, gdy rodziców już zabraknie? Czy będą mogły na siebie liczyć? Czy aby na pewno dawne niesnaski, kusańce i przepychanki z lat szczenięcych nie obciążą ich relacji?

Nieustannie o tym myślę, gdy moi dwaj synowie i córka – w różnych konstelacjach – drą koty o ilość już zjedzonych przez siebie żelek czy kostek czekolady, usiłując ustalić, że ostatnia należy się im właśnie z przyczyn czysto arytmetycznych. Gdy jedno potrzebuje myć zęby, a drugie brać prysznic i toczą głośny spór o prawo do łazienki. Gdy próbują zepchnąć na siebie nawzajem obowiązek wyjścia z psem lub opróżnienia zmywarki. I przy okazji setki innych okoliczności.

W ostatnich dniach w serce moje wiano jednak pokazną dawkę nadziei, a spłynęła ona na mnie dzięki premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, który jest dla mnie źródłem nadziei rzadziej niż Marek

Suski przebłysku intelektualnego. Gdy prasa lokalna i ogólnokrajowa doniosła, że siostra premiera pracowała w 2019 r. przez kilka miesięcy na fikcyjnym etacie w nieistniejącym referacie urzędu miejskiego w Trzebnicy, pan premier nie miał ani chwili zawahania. Stojąc wyprostowany, wobec kamer i mikrofonów niedobitków nieprzychylnych wobec niego mediów rzekł jasno i wyraźnie, iż „ma przekonanie, że praca była wykonywana rzetelnie, realnie”. Prasa na pewno skierowała wobec siostry „kalumnie i insynuacje”, a on to wie, mimo iż „artykułu nie czytał”. Taki brat to skarb!

Ciekawi ten dobór słów: „rzetelnie, realnie”. Pan premier z troską staje naprzeciw narodu, który ma wobec jego i jego partii znacznie obniżone oczekiwania. Co prawda nadal jacyś perfekcjonści życzą sobie, aby ludzie na stanowiskach publicznych pracowali rzetelnie. Jednak po kilku dobrych latach rządzenia w stylu pana premiera, po doświadczeniu w postaci „pracy” wicepremiera ds. bezpieczeństwa Jarosława Kaczyńskiego, wielu Polkom i Polakom

doprawdy wystarcza, jeśli praca siostry premiera była wykonywana „realnie”.

A nawet jeśli nie każdego dnia pani Morawiecka była w biurze, to co z tego? Niech rzuci kamieniem ten, kto sam nie woli home office! A co z tymi wszystkimi z was, którzy popierają bezwarunkowy dochód podstawowy? Będziecie hejtować siostrę pana premiera, choć ona po prostu testowała dla was to rozwiązanie? Przecież na tle setek innych członków rodzin polityków PiS zachowała godną podziwu powściągliwość. Za może nawet i fikcyjną pracę pobrała skromną sumę należną „pomocy administracyjnej” urzędu niedużego miasta. A przecież mogła (nie) robić to samo w dowolnej radzie nadzorczej lub w zarządzie spółki skarbu państwa za kilka lub nawet kilkanaście razy tyle.

Uroczą symbioza rodzeństwa. Wyrażmy podziw. Jak oni się kochają!

COLD WAR LIBERALS

Prezentuje:
PIOTR BENIUSZYS



„Cold War Liberals” jest rubryką biograficzną. Od maja 2022 do grudnia 2023 przedstawiamy w niej pokrótce sylwetki 20 znaczących polityków liberalnych z zachodniej strony „żelaznej kurtyny”, których szczyt działalności publicznej przypadł na lata zimnej wojny.



JEAN GOL

Jean Gol był przykładem polityka związanego z szeroko pojętym ruchem liberalnym, dla którego zasadniczą siłą napędową był jednak regionalizm. Jego poglądy przeszły co najmniej dwie istotne ewolucje, a wejście do życia politycznego zbiegło z głębokim przekształceniem logiki funkcjonowania belgijskiej sceny politycznej. Wraz ze słabnięciem poczucia jedności kraju, rozłupaniem tradycyjnych partii na dwie lub trzy odrębne struktury (oddzielne dla Flandrii, Walonii i niekiedy także dla miasta Brukseli) i pojawieniem się nowych partii regionalnych o niekiedy separatystycznych zapędach, pojawiła się przestrzeń dla nowego sposobu funkcjonowania. W to miejsce wchodził Gol, polityk raczej waloński niż belgijski, którego droga do umiarkowanego liberalizmu prowadziła przez etap marksistowski i nacjonalistyczny.

Jean Gol urodził się w lutym 1942 r. w podlondyńskim Hammersmith. Jak nie trudno odgadnąć przyszedł na świat w realiach wymuszonej na jego rodzinie przez II wojnę światową emigracji. Pochodził z rodziny żydowskiej o polsko-litewskich korzeniach. Z Litwy pochodzili przodkowie urodzonej już w Belgii, w Liège, matki. Ojciec – Stanisław Gol – urodził się natomiast w 1908 r. w Warszawie, więc pierwszą emigrację miał już wcześniej za sobą. Rodzice ukończyli w Liège studia medyczne i cieszyli dobrą pozycją społeczną w mieście. Wraz z nastaniem niemieckiej okupacji nazistowskiej, wiosną 1940 r., uciekli do Wielkiej Brytanii przez Francję, Algierię, Maroko i Portugalię. Stanisław Gol zaciągnął się do emigracyjnych sił zbrojnych Belgii. Tragiczny los spotkał natomiast rodziców matki, którzy pozostali w Liège – w 1944 r. zostali zamordowani po deportacji do Auschwitz.

Rodzina dość szybko po wyzwoleniu wróciła w rodzinne strony, wobec czego Jean Gol całą ścieżkę edukacji, w tym także studia prawnicze, mógł przebyć w rodzinnym mieście matki. W latach 60. głównie studiował i angażował się w życie naukowe, był pracownikiem Narodowego Instytutu Badań Naukowych, przygotował i obronił doktorat w 1969 r., pracował jako adwokat specjalizujący się w międzynarodowym prawie handlowym oraz asystował profesorowi François Perinowi, który w połowie dekady wciągnął go także w politykę.

Pod wpływem Perina, Gol zaczynał w zasadzie na skrajnej lewicy. Miał już na koncie działalność w socjalistycznej organizacji studenckiej i deklarował się jako marksista. Jednak założona m.in. przez Perina w 1965 r. Walońska Partia Robotników (PWT) – niezależnie od utrzymywania związków z IV międzynarodówką trockistowską – była także partią regionalną. Dość szybko stało się jasne, że polityczne cele Perina i Gola orientują się głównie na problematykę poszerzenia autonomii walońskiej, zaś radykalna formuła partii jest raczej otoczką wykorzystywaną jako narzędzie dla stawiania radykalnych postulatów przemiany ustrojowej Belgii.

Utrzymywanie wspólnoty politycznej z trockistami szybko okazało się więc bezcelowe i obaj politycy wyszli z PWT, aby założyć po prostu Partię Walońską (PW). Pod wpływem poruszenia związanego ze skandalem wokół usunięcia z Uniwersytetu Katolickiego w Louvain studentów francuskojęzycznych PW przekształciła się w większy ruch Zgromadzenie Walońskie (RW) i stała znaczącą siłą polityczną w Walonii. Gol został więc z list RW

wybrany po raz pierwszy w 1968 r. do parlamentu jako poseł z rodzimego Liège. W tym okresie Gol deklarował się parokrotnie jako zwolennik idei *rattachisme'u*. Upraszczając, idea ta – głoszona przez jedną z frakcji RW – postulowała wsparcie idei ogłoszenia niepodległości przez Flandrię, aby następnie Walonia mogła ogłosić włączenie prowincji w skład Francji. Cały proces miałby zostać oparty o demokratyczne procedury i uzależniony od pomyślnego wyniku odpowiednich referendum. François Perin pozostał zwolennikiem tej koncepcji do końca życia, wobec czego jego drogi z Jeanem Golem się jednak rozeszły.

Gol postanowił w latach 70. przejść ze swoimi ideami walońskiej autonomii w ramach zreformowanego federalizmu belgijskiego bliżej centrum sceny politycznej. Kierowana przez niego frakcja RW nawiązała współpracę z walońską częścią belgijskiej partii liberalnej PLP, aby w 1976 r. dokonać fuzji obu ugrupowań i powołać Partię Reformatorsko-Liberalną (jej skrót – PRL – w Polsce kojarzy się zgoła inaczej i niezbyt korzystnie), której Gol przewodniczył dwukrotnie – w latach 1979-81 oraz ponownie w latach 90.

Zarówno RW, jak i PRL często wchodziły w skład koalicji rządowych. Gol pełnił w efekcie takie funkcje jak sekretarza stanu w resorcie gospodarki regionalnej Walonii, ministra sprawiedliwości, w końcu od 1981 r. wicepremiera Belgii. W okresie swojej kariery rządowej PRL Gola odegrała znaczącą rolę w procesie głębokich reform ustrojowych i zaprowadzenia ładu federalnego. Wszystkie regiony/wspólnoty Belgii otrzymały swoje autonomiczne instytucje parlamentarne i egzekutywę. Nawet jeśli

dzisiaj Belgia nadal skrzypi i co rusz pruje się w szwach, niewątpliwie reformy z lat 80. dały jej szansę przetrwania po dzień dzisiejszy.

Jako minister i lider partii liberalnej Gol angażował się także w politykę gospodarczą, orędując na rzecz naprawy stanu finansów publicznych. Choć deklarował się na tym etapie swojej politycznej kariery jako socjalliberał, to jednak przewodził partii PRL w kierunku raczej liberalno-konserwatywnym, zwłaszcza angażując się osobiście w projekty ustaw spod znaku „law and order” (np. powołanie specjalnych sił antyterrorystycznych) oraz w dość kontrowersyjne projekty ustaw regulujących imigrację. Ubiegał się m.in. o powołanie oficjalnie sankcjonowanej „rady muzułmanów Belgii”, która byłaby uprawniona do reprezentowania wyznawców islamu w relacjach z państwem, zaś państwu układ ten dawałby narzędzia kontroli w środowiskach muzułmanów, wspierania umiarkowanego nurtu islamu i podstaw do zdecydowanego tłumienia wszelkich przejawów ekstremizmu. Walońska partia liberalna niewątpliwie należała do pierwszych spośród partii liberalnych zachodniej Europy, które temat imigracji wypisały na swoich sztandarach, ale po to, aby zająć w tej debacie raczej zachowawcze stanowisko.

Jean Gol zmarł nagle w 1995 r., w bardzo młodym wieku, z powodu udaru mózgu. Założona przez niego partia pozostała stale otwarta na współpracę z nowymi środowiskami walońskiego regionalizmu i po zmianie nazwy na Ruch Reformatorski (MR) jest czołową siłą polityczną w Walonii. Imieniem Jeana Gola nazwano instytut idei MR ●

MACIEJ RAŚ

*** (ZRYWALIŚMY CZEREŚNIE...)

zrywaliśmy czereśnie. Gniły na drzewie.
Kilka dni. Nie ma szpaków,
nie ma much. Tylko kos zagląda

pod drzewo. Zrywałem czereśnie
i myślałem, że o tym napiszę,
ale napisałem po kilku tygodniach –

już przy wiśniach, porzeczkach.
Kończył się agrest, zaczynały maliny,
a ja myślałem o szpakach, o czereśniach,

o tym, że sporo z nich zgniło.
Brudne ręce, lepkie lato. Od kilku dni
trudno się czymś zająć. Komary też

nie gryzą. Zasnąłem na zewnątrz.
Kos wleciał do mieszkania
i nie potrafił wylecieć.

Niczym potrzeba, żeby coś napisać

Maciej Raś (ur. 1990) jest poetą. Opublikował dwie książki z wierszami: *Pasma* (2013) i *Elegie* (2019). Pochodzi z Krotoszyńska, mieszka w Poznaniu. Ostatnio zasiał fasolę.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń Liberté!, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Redaguje Rafał Gawin

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:

Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*:

Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu
czytelników.

Zespół *Liberté!*:

Piotr Augustyniak

Piotr Beniuszys

Marcin Celiński

Sławomir Drelich

Joanna Ellmann

Marcin Frenkel

Daria Hejwosz-Gromkowska

Sławomir Kalinowski

Tomasz Kamiński

Tomasz Kasprówic

Joanna Łopat

Magda Melnyk

Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia

i współpraca zagraniczna:

Olga Łabendowicz

Koordinacja biura Fundacji, opieka nad *liberte.pl*:

Joanna Głodek

Redaktor prowadząca *liberte.pl*:

Magda Melnyk

redakcja@liberte.pl

Koordinacja 6. dzielnicy:

Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:

Lotokot Studio

Korekta:

Piotr Beniuszys

Sylwia Dziemińska - Korekta przy kawie

Ilustracje:

- Zdjęcia na licencji CC

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*

ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:

Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu

Leszek Jażdżewski

ISSN: 2080-4326